MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 38 | WARSZAWA, 13 WRZEŚNIA 1936 R. | CENA NUMERU 80 GR.

ŻYWY SKARGA

„Bych był Jeremiaszem"... „Nastąpi postronny nieprzyjaciel"... „Będziecie nietylo bez pana krwie swojej i bez wybierania jego, ale też bez ojczyzny i królestwa swego, wygnańcy wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy, włóczęgowie, które popychać nogami tam, gdzie was pierwej ważono, będą..."

Tych kilka zdań — z trzeciego i ósmego „Kazania sejmowego"—silniej niż cała reszta wielkiej, wszechstronnej działalności Skargi wryło się w pamięć, zapanowało nad wyobraźnią dzisiejszej warstwy oświeconej w polskiem społeczeństwie. Widzimy go zawsze tak, jak ukazał w swojej wstrząsającej wizji Matejko: proroka klęski, wróżącego rozbiory, powtarzającego straszliwe słowa przepowiedni: „I będziecie jako wdowa osierociała, wy, coście drugie narody rządzili, i będziecie ku pośmiechu i urąganiu nieprzyjaciołom swoim..."

Zjawisko to najzupełniej zrozumiałe. W okresie niewoli cała nasza myśl o przeszłości ześrodkowała się jednostronnie na pytaniu: „dlaczego Polska upadła?", to zagadnienie stało się centralnem w naszej historiografii, zarówno w dziedzinie dziejów politycznych, jak piśmiennictwa, kultury i t. d. Zwłaszcza od czasu, kiedy przyczyn katastrofy poczęto dopatrywać się w błędach ustrojowych, szczególna uwaga, jeśli chodzi o pisarzy staropolskich, skupiła się na wynajdywaniu w dziełach ich zapowiedzi upadku, krytyki urządzeń dawnej Rzplitej i t. p. Czyż nie najlepiej, z tak bogatej i różnorodnej przecież spuścizny Orzechowskiego, zapamiętaliśmy to przypadkowo rzucone zdanie: „Byś serce moje rozkroił, nie nalazłbyś w niem nic innego, jedno to słowo: Zginiemy!"?... I czyż można dziwić się, że dla tych pokoleń Polski niewolnej, Skarga przedewszystkiem musiał wydawać się czemś w rodzaju Kassandry, zwiastunem pogromu?

Ale to właśnie zaciążyło na ich stosunku do autora „Kazań sejmowych" — i zaciążyło w sposób najfatalniejszy. Kassandra może budzić cześć religijną, przestrach, podziw, wszakże z natury rzeczy nie wywołuje tego uczucia bliskości, które sprawia, iż twórczość pisarza wrasta jakgdyby w zbiorowe życie narodu, przenika i kształtuje wszystkie jego tkanki. I dlatego Skarga, tak pojęty, zacieśniony do roli proroka upadku, dla dzisiejszej Polski pozostaje czemś dostojnem niewątpliwie, lecz zarazem nazbyt hieretycznem, dalekiem. Tak jest przynajmniej jeśli chodzi o warstwę inteligencką, ponieważ lud — i w tym wypadku, jak w tylu innych, prawdziwy dziedzic żywej, staropolskiej tradycji — jak dawna szlachta rozczytuje się w skargowskich „Żywotach świętych", jak przed wiekami w coraz nowych wydaniach sprzedawanych na odpustowych straganach.

Otóż obecne uroczystości skargowskie wtedy spełnią w sposób należyty swe zadanie, gdy dzieła Skargi dla dzisiejszych Polaków uczynią towarzyszem tak bliskim, tak nieodłącznym, jak książeczka jego niegdyś: „Żołnierskie nauki i nabożeństwo" dla rycerzy Chocima, Wiednia i Baru. Musimy poznać indywidualność Skargi w całem jej imponującem bogactwie: teologa, który w „Kazaniach o siedmiu sakramentach" budzi podziw rozległością i głębokością swej wiedzy, męża stanu, który w „Kazaniach sejmowych" formułuje zasady ustroju Rzplitej, mistrza słowa, który

prozę polską podnosi na nieprzewyższone nigdy odtąd szczyty artyzmu, twórcę Bractw Miłosierdzia i „banków pobożnych", — świętego...

A gdy chociaż nieco bliżej zżyjemy się ze Skargą, spostrzeżemy łacno, iż nie był on przeciwstawieniem kultury staropolskiej, sędzią ogłaszającym na nią wyrok potępienia, ale, naodwrót, jej reprezentantem doskonałym, karcącym tych, co do jej ideału politycznego i moralnego nie potrafili z tych czy innych przyczyn się podciągnąć. Był głosicielem chwały dawnej Polski, nietylko w nieśmiertelnych Kazaniach Tryumfalnych [1]), we „Wsiadaniu na wojnę" i t.d., ale i w całej bez wyjątku swej twórczości, nawet w chwilach najposępniejszych proroctw przypominając Polakom, żeście „drugie narody rządzili", że „potężna... ręka i moc wasza, i nieprzyjaciołom straszliwa..." Jak bardzo dziś, w dobie gloryfikacyj wojen domowych, krzepi nas i buduje ów staropolski ideał zgody, który—w epoce krwawych walk religijnych w Europie — nakazał Skardze mówić o rodakach różnowiercach: „złe heretyctwo, ale ludzie dobrzy, złe błędy, ale natury chwalebne; złe odszczepieństwo, ale krew miła..." Jakże, w okresie mody na „państwo totalne", otrzeźwia nas owo polskie, skargowskie pojęcie władzy, zgodnej z wolnością: „Nie taką monarchią chwalimy, jaka jest u Turków, Tatar i Moskwy, która ma bezprawne panowanie, ale taką, która prawy sprawiedliwemi i radą mądrą podparta jest i moc swoją ustawami pobożnemi umiarkowaną i okreszoną ma".

Ideał Skargi nie przeżył się, może i musi być chlebem powszednim także dla pokoleń dzisiejszych i jutrzejszych, bo jest **ideałem polskim**, przez dzieje ukształtowanym, treścią i wykwitem naszej cywilizacji narodowej. Prawdziwie powiedział o twórcy „Kazań sejmowych" Mickiewicz [2]).

„Skarga nie wyobraża żadnej partii, ani żadnej epoki, odbija się w nim cały kraj, cały naród ze swoją przeszłością, obecnością i przyszłością nawet. Rodziną Skargi była Polska".

JAN REMBIELIŃSKI

1) Poniżej przytaczamy urywki z kazania o zwycięstwie kirchholmskiem.

[2]) „Lit. słowiańska" rok I. Lekcja XL.

Z KAZAŃ TRYUMFALNYCH

POKŁON PANU BOGU ZA ZWYCIĘSTWO INFLANTSKIE

(*W skróceniu*)

ZASIADŁSZY PAN BÓG ZASTĘPÓW stolicę trybunału swego, puścił wyrok straszliwy na człowieka krwią niewinnych oblanego, pokój światu potrzebny i miły psującego, na burzyciela katolickiej wiary, na wydzieracza królestw i państw cudzych, na hardość, która mocy swej dufała, a na Boga i sprawiedliwość i prawa jego nie patrzyła. Przyszedł mocnym i uzbrojonym w czternaście tysiącach wojskiem cudzą ziemię posiadać, i miasta i zamki brać; a owo [1]) mały poczet ludzi, to jest trzy tysiące i cztery sta, starł moc wszytkę jego. Książęta z Niemiec od niego najęte z swoim ludem polegli, hetman jego najwyższy zabity, dziesięć tysięcy trupów, jak trawy na pokosie, na samym boisku [2]) padło, drudzy w Dźwinie rzece, uciekając, potopieni; a którzy przebyli, od oraczów pozabijani są, abo poimani; w błociech i w chrościech wiele pobitych abo umarłych zostało, poimanych przednich ludzi niemała liczba, chorągwi sześćdziesiąt nazbierano, dział polnych jedenaście i z obozem wszytkim pobrano. Sam wódz okrutny z raną w ciele swoim, z kiląś tylo [3]) chorągwiami uciekł. Za co dziś Panu Bogu dzięki oddając, mówim z Dawidem: „Sławim Cię, Panie, z całego serca naszego. Opowiadamy dziwy Twoje, i uweselamy się i kochamy w Tobie. Boś uczynił sprawiedliwość w krzywdzie naszej. Zasiadłeś na stolicy Twej sędzia sprawiedliwy". O tej radości wszytkiej Korony naszej, chcąc się szerzej na uciechę waszę rozwieść, pierwej się do użałowania nad ludzką nędzą i płakania pobudzim, a potem się do przyczyn radości, i do przestróg naszych, za pomocą Ducha świętego, udamy.

Jako nie żałować, iż ludzi tak wiele w kilku godzinach ginie? Iżali tak prędko inni urostą? Iżali ziemia, która ludźmi z błogosławieństwa Bożego napełniona być ma, pustą i samym bestjom do mieszkania zostawić ma? Jako nie płakać, iż człowiek zabija człowieka tejże natury jako i sam? A walki najwięcej ludzi potracą, i niemasz tak jadowitej plagi na człowieka, jako człowiek, który rozumem i dowcipem dziwne do zabijania bliźnich sposoby wymyśla: żelaza, strzelby, prochy, działa, kule, mosty, i inne sidła i doły na krew i ciało natury jednej przyprawuje. A to ciężej, iż chrześcijanie od chrześcijan giną, mandatu Chrystusowego odstępując, miłość i zgodę braterską targają.

Tem się cieszym, iż oni na zgubę naszę przyszli, nie my na nie. Oni naszli nas, a myśmy się bronili. Gdzieżeśmy o swoje ciężkości i krzywdy pozywać je mieli? Pan z Panem innemu niepodległym, nie ma drogi innej do nabywania miłego pokoju, jedno żelazo a wojnę. Na której sam Pan Bóg sądzi i wyroki swe daje, i karze niespokojne i niesprawiedliwe, i z paszczęki ich niewinne wybawia.

Obległ tyran przednie miasto Rygę, pisał i namawiał oblężone, mówiąc: Otwórzcie mi, idę z dobrem waszem, wybawię was i ziemię Infantską od papiestwa. Nie macie komu dufać, sejm

[1]) Owo = oto.
[2]) Na boisku = na polu bitwy.
[3]) Z kiląś tylo = tylko z kilkoma.

polski w niwecz poszedł, obrony nie dali, trocha wojska królewskiego pobita wnet będzie. Odpowiedziano mu, jako przystało dobrym i wiernym poddanym Króla J. M.: Wiary i przysięgi swemu Królowi dotrzymamy, naśladować twego krzywoprzysięstwa nie będziem. Wtem Suderman o dobrem wojsku Króla J. M. we dwu milach usłyszał. Porwał się ze wszytką mocą i uczuł Boską rękę. Bierzże odprawę z mocnej ręki Boskiej; któryś wiarę świętą z Inflant wygnać chciał, sam z Inflant uciekaj! Moc twoja jako trawa, chwała twoja gnój i trupy. Uciekaj na morze, bo ziemia niezbożności twej nie zniesie, a pokutuj, aby cię wody pomsty Bożej nie pożarły.

Z tego zwycięstwa mamy i tę wielką pociechę, iż sławę rycerską ludzi króla jegomości Pan Bóg podnieść raczył, dając nam takie hetmany i żołnierze, którzy męstwem swojem tak zły raz zastąpili [4]) i z wielkiego niebezpieczeństwa Rzeczpospolitą wybawili.

Dziękujem tedy Panu Bogu, iż nam w tem małem wojsku naszem tak wiele cnych witeziów[5]) i mężnych żołnierzów dać raczył, którzy wszytkie inne towarzysze posilili, i ochotą swoją na spisy i ostrze żelaza i strzelby powiedli. A naprzód cnocie i wielkiemu męstwu hetmana naszego Chodkiewicza wydziwować się nie możem, który jako lew, wielkością i mocą nieprzyjaciół zastraszyć się nie dał. Lekki to nieprzyjaciel, który Boga i sprawiedliwości z sobą nie ma, by dobrze nas liczbą i mocą przechodził. Wszakeśmy go już często z pomocą Bożą płaszali[6]), i bili u Kiesi i Kokenauzu, u Białego kamienia. Małośmy chorągiew na sejmie przeszłym pobitego jego wojska oddali, i wielkąśmy sławę odnieśli? I teraz da go Pan Bóg w rękę naszą, jedno nie czyńmy zelżywości sławie naszej. Temi i innemi słowy wzbudzając swoje towarzysze, miłością czci Boskiej i ojczyzny zjęty, zdrowie swoje oddawał, w nadzieje pewnej pomocy z nieba. A któryby hetman, tak źle na taką moc nieprzyjaciół opatrzony, nie ustępował? I miałby słuszną bardzo wymówkę, na te narzekając, którzy źle o Rzeczypospolitej radzili, i do pomocy przeszkadzali. A on niedbalstwa inszych na się biorąc, mówił: Niechaj ja zdrowiem mojem cudzych grzechów przypłacam. Jeśli o ojczyznę kto nie dba, ja za nią umrzeć chcę.

I żołnierze podobne rozmysły w serca biorąc, a zębami na nieprzyjaciele zgrzytając, a za szablę się imając, jako strzały napięte, skinienia hetmańskiego czekali, które gdy wzięli, imę Jezus w sercu i w uściech mając, na spisy ostre, na działa, na muszkiety i strzelbę wypadli, i ręką Boską rozgromili, pobili, rozpłoszyli moc onę!

Cne rycerstwo obojga narodu, bierz dzięki od nas, wdzięcznej braciej. Utarliście kacerstwu rogi, królewskiej i koronnej sprawiedliwości obroniliście, sławie swej rycerskiej i przodków waszych uczyniliście dosyć, wszystkich nas uweseliliście.

Wychwalajmy książę przesławne Kurlandzkie, sąsiada naszego, wiernego Koronie tej. Widział przez bystrą i głęboką rzeką małą kupkę naszych, widział wojsko nieprzyjacielskie, pola i pagórki pokrywające; nie wadziła mu wielka rzeka Dźwina; przepłynąć z jazdą swoją chciał, i Boskim powodem[7]) na bród trafił o którym nikt nie wiedział. Chciał Pan Bóg, aby z czerstwą jazdą bez topienia i moczenia przebył. I przybył pół godziny przed bitwą, i w to się niebezpieczeństwo wdał, i pociechę i sławę wierności i ochoty swej i męstwa rycerskiego odniósł.

Oddajmy wielkie dzięki świętemu naszemu Stanisławowi, którego dzień zwycięstwa jego uczcił Pan Bóg, bez wątpienia za przyczyną jego. I święty Kazimierz, za powinnym[8]) swoim Królem J. M. panem naszym, i za ojczyznę swoją pilne modły czyni. Któremu, gdy się nasz hetman odlecał[9]), i z grobu jego, przez kapłana najwyższego w Litwie, chorągiew i miecz z błogosławieństwem brał, słuszną tę wielką pociechę sobie i nam wszystkim przez jego przemożną przyczynę odniósł. Bogu w Trójcy jedynemu chwała za wszystko, przez Jezusa Chrystusa, Pana naszego, który w jedności Ducha stokrotnie Bóg jeden na wieki. Amen.

X. PIOTR SKARGA

[4]) Zły raz zastąpili = cios odparli.
[5]) Witeziów = rycerzów.
[6]) Płaszali = zmuszali do ucieczki.
[7]) Powodem = zrządzeniem.
[8]) Powinnym = powinowatym.
[9]) Odlecał = polecał, w opiekę oddawał.

SKARGA I MATEJKO

Panu Kazimierzowi Żółtowskiemu

I

„ORZEŁ biały na tle mroków nocy".

Wypowiadając te słowa był wzruszony i zamyślony. A wpatrywał się w obraz długo, wnikliwie. Określenie w krótkiem zdaniu dziwnie trafne, rzec można ujmujące całą istotę tego potężnego obrazu Matejki. Pierwszego obrazu, który zrobił mu sławę malarza na miarę europejską, głęboko poruszył rodaków, a z areny wszechświatowej, z wystawy paryskiej przyniósł medal, uznanie, nawet zachętę do pozostania w tej stolicy artystów i sztuki.

Nie zdziwiło mię to, że matejkowskie „Kazanie Skargi" zostało tak wizjonersko plastycznie, a zarazem tak istotnie i zwięźle ujęte. Określenie to bowiem wyszło z ust znakomitego znawcy sztuki, czującego, wnikliwego, o wielkiej kulturze duchowej. Dziwniejsze o wiele było to, że słowa te wypowiedział cudzoziemiec. A przecież one tak dobitnie malują nietylko dzieło artysty, ale i ducha narodu, jego troski i bóle, jego tragizm wyrażony w tym potężnym obrazie. Mogę to wytłumaczyć jedynie tem, że ten szlachetny obcokrajowiec w żyłach swoich miał podobno cząstkę krwi polskiej, — a bardziej jeszcze tem, że był... katolikiem.

Bowiem głęboka więź katolicka ma dar doprowadzania ludzi do wzajemnego wyczucia się i zrozumienia, katolik, nawet cudzoziemiec, mógł łatwiej niż kto inny, instynktem swym odczuć wewnętrzny dramat narodu katolickiego.

W każdym razie określeniem tem byłem olśniony. Tak! —Skarga w obrazie Matejki, Skarga ogarniający i pochłaniający cały obraz, to istotnie — orzeł biały na tle mroków nocy!

Dziś kiedy całe dzieło, niestety, mocno ściemniało, prawda tego określenia występuje jeszcze plastyczniej. Dziś z cienia Świątyni Pańskiej wybłyskuje już tylko ta piękna twarz, ta wspaniała głowa z rozwianym włosem... i ręce wzniesione... i te oczy wpatrzone w głąb wieków... w wyroki Boże.

*

Chcąc przedsięwziąć analizę słynnego arcydzieła malarstwa polskiego, jednego z najpotężniejszych tworów naszego ducha, dla zrozumienia tego olśniewającego porywu musimy wniknąć w tło tego utworu, tło owoczesne i tło minione, dziejowe.

Duszą narodu wstrząsały w dobie niewoli głębokie uczucia, które, choć nieraz, w romantycznem podnieceniu sprowadzając na błędne tory myśl polityczną, czyniły niejedną szkodę skupieniu i rozwojowi sił narodowych, co musiały być gromadzone dla odzyskania niepodległości, to niemniej były one wyrazem zdumiewającej żywotności i potęgi moralnej tego politycznie rozszarpanego narodu.

Spostrzeżenie Szujskiego, że Rzplita stała nie wartością swych instytucyj lecz wartością moralną swych obywateli, znajduje tu znakomite potwierdzenie już nie w stosunku do państwa, lecz w stosunku do rzeczy o wiele ważniejszej i trwalszej, w stosunku do narodu.

Moralnym wstrząsem duszy narodu, sumienia narodu pokierował był niegdyś jego największy moralno-religijny budziciel, wychowawca i kierownik, ks. Piotr Skarga.

Że w XVIII stuleciu, aż do jego schyłku, aż do ostatecznej katastrofy, moralno-religijne pierwiastki w dążeniu do odrodzenia narodowego i ratowania państwa małą odgrywały rolę, to ze względu na owoczesną atmosferę smutnego „wieku oświecenia" było rzeczą zrozumiałą, aczkolwiek straszną, w skutkach katastrofalną.

Dziwniejszem może się wydać to wspaniałe, krzepiące i zbawcze odrodzenie religijno-moralne, którem zajaśniało społeczeństwo polskie zarówno na szczytach jak i w głębinach swoich w dobie porozbiorowej.

Istotnie, pod wpływem nieszczęść dopustu Bożego zbudziło się sumienie narodu w jego najgłębszych pokładach.

Sprawdziły się prorocze słowa Skargi, ongi bezcelowe wołanie znalazło teraz oddźwięk czysty, potężny, nakazujący narodowi wejść w samego siebie, porachować się ze swemi przewinami i w wierze w skuteczność żalu za grzechy i pokuty znaleźć swe pokrzepienie i drogę poprawy.

Ks. Piotr Skarga dwukrotnie więc podziałał wstrząsająco i zbawczo na naród, dwukrotnie był jego bezspornym ratownikiem i wychowawcą.

Raz na przełomie wieku XVI i XVII za swego kaznodziejskiego, płomiennego żywota, i wtedy, chociaż w części tylko zdołał oddziałać na polskie społeczeństwo szlacheckie, to jednak w części najważniejszej, mianowicie w części religijno-wyznaniowej. Religijne odrodzenie narodu, które przynajmniej na 150 lat oddaliło upadek państwowy (bez tego odrodzenia Państwo Polskie, być może, uległoby rozbiorom już w dobie zalewu szweckiego) w znacznej części było dziełem Skargi.

Po raz wtóry Skarga zaczął oddziaływać po wstrząsie rozbiorowym w XIX wieku.

Nie mówiąc już o Arcybiskupie Woroniczu, ale nawet taki klasyk z tradycjami ubiegłego stulecia „oświecenia" jak L. Osiński został porwany Skargą, kiedy czytał swoją rozprawę o proroczym kaznodziei dn. 13 lipca 1812 r., w Krzemienieckim Liceum, w chwili posuwania się zwycięzkich jeszcze zastępów „boga wojny", Napoleona.

Ale to były początki. Skarga już poruszał, ale jeszcze nie oświecał dróg narodu potężnym reflektorem swej nieśmiertelnej wymowy.

Dopiero ze wzrostem romantyzmu, rozpłomienienia żarliwej, męczeńskiej miłości Ojczyzny, — dopiero po 31 roku, kiedy pod lata powstania styczniowego i następne zaczęły się mnożyć wydania nowe, od roku 1610 zaniechane „Kazań Sejmowych", Skarga stał się chlebem powszednim duszy polskiej.

Oddziaływał też na nią potężnie, a krzepił i kształtował geniuszów tej miary co Mickiewicz i Matejko.

Jeżeli Mickiewicz w swoich wykładach literatur słowiańskich wystawił piękny, zachwytem i miłością tchnący pomnik Skardze, to właściwym jego następcą, uczniem, synem nieodrodnym, tworzącym dzieło w duchu Skargowskim nie jednym nawet obrazem, ale całym ich wspaniałym łańcuchem, był Jan Matejko.

Zaznaczam to zdecydowanie, że nie chodzi tu tylko o jeden obraz, mimo iż ten jeden należy do najświetniejszych w dziejach polskiej sztuki, ale niemniej jest tylko początkowym, za którym nastąpił szereg dzieł, w dalszym ciągu skargowskim duchem natchnionych. W każdym razie ten jest przełomowym obrazem, otwierającym nowe drogi.

Przed „Skargą" Matejko, młody malarz, był artystą realistą wielkiego talentu, o silnej plastyce, śmiałej technice pędzla, głębokiem uczuciu, wyrazistości przedtem w sztuce naszej nieznanej. Niemniej w realizmie swoim, zapatrzonym w *juste milieu* Delaroche'a, daleki był jeszcze od swych późniejszych genialnych wizyj.

Dość przypomnieć sobie: „Otrucie królowej Bony", „Jana Kazimierza na Bielanach", „Kochanowskiego z Urszulką", „Śmierć Wapowskiego" a nawet „Stańczyka" (r. 1862), który stał się świetnym błyskiem wstępu, ażeby zrozumieć fakt przełomu jaki się dokonał w duszy twórcy.

Przełomu podobnie jak i u Grottgera dokonał okres powstania 63 roku, wraz z poprzedzającemi go przeżyciami narodu. Ten wstrząs płomienny i bolesny wykrzesał tych dwu genialnych artystów. Ale jak idealistyczny, koturnowy monumentalizm Grottgera, tak wizjonerski realizm o skrajnem napięciu psychicznem Matejki musiał znaleźć właściwe swoje drogi pod wpływem czynników kształtujących bezpośrednio, bliższych plastyce. Temi czynnikami uczucia, słowa i myśli, nasycającemi atmosferę owoczesną, było działanie romantyzmu polskiego, ale dla Matejki w szczególny sposób najpotężniejszym czynnikiem okazał się Skarga.

Wtedy, kiedy wśród powszechnego podniesienia, a nawet podniecenia religijno-patriotycznego narodu przed samym wybuchem powstania dał swojego „Stańczyka", tę przedziwną twarz wpa-

trzoną w tajemnicę wieków, jakby w korowód wizyj, które miały się ukazać spod jego twórczej ręki, wtedy już dusza jego, jego uczucie i myśl pochłonięte były „Skargą". Pierwsze szkice Skargi poprzedziły wykończenie Stańczyka, samo zaś „Kazanie Skargi" ukazało się już w okresie wygasania powstania (r. 1864, wiosna),

Od lat Matejko chłonął Skargę, bo na całej ogromnej przestrzeni dawnej Rzeczypospolitej był już on, jak powiedziałem, chlebem powszednim. Przemożnie oddziaływał na dusze polskie a najbardziej na duszę Matejki, duszę tak mu bliską, pod wielu względami niemal identyczną.

„Kazania Sejmowe" od dwustu dwudziestu lat po raz pierwszy wydał Biskup Skórkowski (r. 1831), teraz ponownie Turowski w bibliotece, która w swych zeszytach rozchodziła się szeroko (r. 1857). Wystąpił M. Dzieduszycki z niepospolitem, poruszającem, dwutomowem dziełem: „Piotr Skarga i jego wiek" (r. 1850—51). Każdy żywszy umysł, każde serce czujące zajmowało się Skargą, czuło i myślało ze Skargą. Nie jeden zapewne, tak jak mój dziad, uczestnik powstania, Szymon Weryho-Darowski na pamięć deklamował długie urywki „Kazań Sejmowych", a także na zwycięstwo wołoskie i kirchholmskie.

Gdyby nie wpływ Skargi, trudno przewidzieć jakiemi drogami poszłaby malarska twórczość Matejki, w każdym razie Skarga z niedawnego realisty uczynił wizjonera.

Ale nie dość na tem, to co w oczach wielu było przekroczeniem ram uprawnienia plastycznego przez Matejkę, jego „literackość", jego „filozofia" i historiozofia, jego idea nauczycielska w stosunku do narodu, to właśnie było ze Skargi. Matejko stał się kaznodzieją w plastyce tak jak jego mistrz był kaznodzieją w słowie, stał się podobnie jak tamten kapłan, tragicznym budzicielem sumienia, prorokiem.

Porwał się na rzecz, zdawałoby się, niewykonalną, wypowiedzieć pendzlem to, co należałoby wypowiedzieć słowem. Gdyby to przedsięwziął artysty średniej miary, a nawet wielki, ale nie geniusz wyjątkowy, to byłby się załamał pod ciężarem tego nieprawdopodobnego przedsięwzięcia jak P. Cornelius albo Wilhelm Kaulbach. Ale że to przedsięwziął Jan Matejko, geniusz twórczy o ekspresji od wieków niewidzianej, przeto pokonał te trudności zwycięsko, przełamał opór mowy plastycznej.

W jego wizjach twórczych, pod jego ręką stała się ona nie mniej potężną i wstrząsającą budzącą łańcuch uczuć i myśli, jak żywe kazania Skargi.

Więcej nawet, bo „Kazania" Skargi, szczególniej te Sejmowe i te Tryumfalne, stają się nam bardziej bliskie i zrozumiałe pod wpływem Matejki.

Kiedy się wczytuję w „Kazania Skargi" pragnę mieć przed oczyma memi reprodukcje, jeżeli nie oryginały, dzieł Matejkowskich. Zresztą „Kazania" Skargi same je w plastycznej pamięci wywołują, przesuwają jak film potężny przed oczyma duszy.

Jestem głęboko przeświadczony, że najpiękniejszem wydaniem „Kazań" Skargi byłoby to, w którem umieszczone byłyby reprodukcje z dzieł Matejkowskich, a nawet jego szkiców. Ba, nawet te szkice właśnie, w plątaninie swych linij, mając ten rozmach Skargowski, ten bezpośredni żar uczucia i myśli nawałę, niejako organicznie zbliżają dwu nieśmiertelnych twórców

Współcześni, szczególniej najwybitniejsi, odczuli też i zrozumieli oddziaływanie Skargi na Matejkę.

„Wielkie dusze, wielkie geniusze mają moc zapładniającą nietylko w jednym kierunku"—pisał zaraz po wystawieniu obrazu Lucjan Siemieński— „Skarga mógł stworzyć u nas dobrych mówców kościelnych, dobrych prozaików, zawrócić nie jeden umysł zbłąkany — pokazuje się że jeszcze stworzył historycznego malarza".

To się tyczyło samego obrazu, pierwszego obrazu na skalę potęgi geniuszu jaki stworzył Matejko. Ale dziś możemy stwierdzić, że uwaga ta, to spostrzeżenie nie do jednego stosuje się dzieła, lecz może być zastosowane do całej twórczości Matejki.

Dziś widzimy, że jeżeli Siemieński napisał o postaciach z „Kazania Skargi", że one wszystkie, tak charakterystyczne, są ilustrowanemi epizodami kazania, że „do każdej dobrałbyś tekst, dający się zastosować psychologicznie podług wrażenia, malującego się na niej", to można i należy powiedzieć że i inne dzieła Matejkowskie z całego ciągu jego twórczości znajdują swój odpowiednik w dziełach Skargi. Że i rozpacznie tragiczny „Rejtan" i kojący „Sejm Lubelski", zwycięski „Batory", tryumfalny „Hołd Pruski", a nawet wichura „Bitwy Grunwaldzkiej"—mają wszystkie swój żywy, uzupełniający, wyjaśniający odpowiednik w dziełach Skargi.

Tak „wielkie dusze, mają moc zapładniającą".

LUDOMIŁ SZRENIAWA-CZERNIEWSKI

TEODOR II I JAN IV

(Z DZIEJÓW ABISYNII) (Ciąg dalszy)

PRZEZ CZTERY LATA Abisynia była pogrążona w odmętach wojny domowej. Do korony rościli pretensje wszyscy trzej sprzymierzeńcy Napiera: Menelik z Szoa, Atie Tekla Georgis z Lasty i Goldża Kassa z Tigre. Pierwszy Menelik wycofał się z walki, trafnie rozumując, że dzidy jego żołnierzy niewiele wskórają przeciwko angielskim karabinom tygryjskiego rasa. Na placu pozostali Kassa i Georgis. W decydującej bitwie pod Aduą nieliczna, ale dobrze uzbrojona armja pierwszego, zadała lastańczykom druzgocącą klęskę. Nieszczęsny Georgis dostał się do niewoli i został oślepiony. Goldża Kassa koronował się w Aksum, przybierając imię Jana IV. Wśród możnowładców, którzy stawili się na jego koronację był i Menelik. Musiał on, według prastarego zwyczaju, z kamieniem na karku upaść plackiem przed monarchą.

Za rządów Jana Abisynia stała się przedmiotem zaborczych dążeń ze strony innych państw: inspirowanego przez Anglię Egiptu, państwa derwiszów i wreszcie Italii. Przez 17 lat swego panowania musiał Jan wielokrotnie odpierać zbrojne najazdy sąsiadów, czasem na paru frontach jednocześnie.

Zaraz po wstąpieniu na tron trzeba było sta-

nąć do walki z Egiptem, który odciął Abisynię od morza, okupował Harrar, a następnie trzykrotnie ponawiał szturm do właściwej Abisynii.

Namiestnikiem sułtańskim w Egipcie był od 1863 r. ambitny i lekkomyślny Izmail-Pasza. Za pomoc, okazaną Wielkiej Porcie w stłumieniu powstania kreteńskiego, uzyskał on tytuł khedywa (wicekróla). Rozrzutność tego dygnitarza była niejednokrotnie wyśmiewana w ówczesnej prasie. Przepych jego dworu, częste podróże do stolic europejskich, wreszcie kosztowne inwestycje (kanał Suezki i inne) nadwyrężyły skarb wice królestwa, co w rezultacie umożliwiło mocarstwom europejskim ingerencję w wewnętrzne sprawy Egiptu. W 1875 r. wobec groźby bankructwa Izmail decyduje się odsprzedać Anglii akcje kanału za bajecznie niską cenę czterech milionów funtów. Nie uchroniło to wprawdzie kraju przed finansową kontrolą zagranicy, ale odroczyło wprowadzenie jej na trzy lata.

Khedyw przejął od Państwa Ottomańskiego administrację afrykańskiego wybrzeża Morza Czerwonego i Oceanu Indyjskiego (w tem porty Massaua i Zeila). Następnie rozszerzył swe posiadłości w głąb kraju, opanowując terytoria leżące na wschód i południowy-wschód od etnograficznej Abisynii. (Dankalia i Harrar). W 1872 r. wysiadł w Zeili znaczny oddział Egipcjan pod dowództwem Müzingera-Paszy i, po przebyciu terytoriów okupowanych, próbował wtargnąć w góry, ale w okolicach jeziora Aussa został zniszczony przez Abisyńczyków. Mimo to Egipt, niezrażony pierwszem niepowodzeniem, przygotował się do nowego najazdu. W rok później negus Jan, w rozmowie z francuskim konsulem Sarzecem [1]), skarżył się na zaborczość khedywa: „Egipt pragnie zagarnąć mój kraj i już osaczył całe wybrzeże. Dotychczas nie chciałem uciekać się do użycia siły. Komu może zależeć na przelewaniu krwi? Niech lepiej państwa Zachodu przyślą tu kilku ludzi mądrych i prawych, co podjęliby się pośredniczenia między mną, a Izmailem-Paszą. Niech oni ustalą nasze wspólne granice, a ja z góry obiecuję podporządkować się ich decyzji" [2]).

Mniej więcej to samo mówił w sześćdziesiąt z górą lat później o wiele sympatyczniejszy od Jana negus Heile Selassie po zatargu granicznym z Włochami o Ual-Ual.

Tymczasem Egipt przygotowywał się do podboju Abisynii, a Anglia do okupacji Egiptu. Powiększenie jego terytorium o całe dorzecze Błękitnego Nilu, z życiodajnem jeziorem Tsana i urodzajną wyżyną Abisyńską było dla Anglii bardzo na rękę. To też do imperialistycznych planów khedywa odniosła się ona życzliwie, a nawet wspomogła go bronią, instrukcjami i pieniędzmi, powiększając tem samem zadłużenie jego kraju.

W końcu 1875 r. wyruszyła w góry Habeszu nowa ekspedycja pod dowództwem zarabizowanego Duńczyka, Ahrundrupa-Paszy. Wojsko egipskie dotarło tym razem do Gundetu nad rzeką Mareb, ale w nocy 18 listopada zostało otoczone i wycięte w pień przez Jana. Wysłano wówczas do Massauy trzecią z kolei armię, liczącą 20 tys. żołnierzy. Dowodził nią książę krwi, Mulej-Hassan-Pasza, w asyście ministra wojny i oficerów europejczyków. 5 marca 1876 r. nastąpiła generalna bitwa w pobliżu Gura, która znowu zakończyła się kompletną porażką Egipcjan. Mulej-Hassan-Pasza i inni oficerowie, którzy dostali się do niewoli, musieli defilować przed Janem nago, poczem na rozkaz negusa wytatuowano im na ramionach krzyże.

Wogóle Jan odznaczał się wielkiem okrucieństwem. Był to jednak tyran całkiem innego typu, niż Teodor. Tamten miał w sobie coś z bohaterów Sienkiewicza: trochę z Bohuna, trochę z Kmicica. Niepohamowany w gniewie, a jednocześnie zdolny do wielkich poświęceń, naiwny, prostolinijny [3]) i niekonsekwentny, Teodor w niczem nie przypominał swego następcy. Jan był ponurym okrutnikiem w stylu Iwana Groźnego, bigotem i hypokrytą. Gdy Teodor bagatelizował praktyki religijne — Jan całemi godzinami wybijał przed ikoną pokłony. Pierwszy był jawnym rozpustnikiem, drugi, spotykając kobietę, wstydliwie zasłaniał twarz, co mu nie przeszkadzało mieć liczne nielegalne potomstwo. Dla Teodora zbrodnią było poprostu to, co sprzeciwiało się jego woli, dla Jana — każde, bodaj najmniejsze odchylenie od tradycji abisyńskiego, ciemnego i zabobonnego pseudochrystianizmu. Gdy doniesiono mu, że żołnierze w jednym z garnizonów jedli w post mięso, kazał ich pochwycić i stracić. Bluźniercom wyrywał języki, a winnych „kazirodztwa" kastrował, choćby współwinne pozostawały wobec nich w ósmym stopniu pokrewieństwa. Jeszcze straszniejszy był los wróżbitów i czarnoksiężników; wyrywano im języki, wykłuwano oczy, odrąbywano ręce i nogi, poczem broczące krwią kadłuby obwożono po mieście, a następnie wieszano na skrzyżowaniu dróg.

Zasadniczą cechą charakteru Jana była bigoteria. Kolekcjonował z zamiłowaniem liche bohomazy, wyrabiane w Aleksandrii tysiącami dla prawosławnej ludności Bliskiego Wschodu. Gdy przywożono mu stamtąd nową „ikonę", nakładał uroczyście szaty monarsze i wychodził na jej spotkanie, zdaleka już bijąc pokłony. Czasem całe dnie spędzał przed „anałojem", czytając po kolei święte księgi g'ezkie, których treści często nie rozumiał. Lubił śpiewać psalmy przy akompaniamencie *massanko* (jednostrunnej gitary); czasem sam sobie akompaniował, klaszcząc, wschodnim zwyczajem, w dłonie. W posty zachowywał milczenie i nie wychodził z zamku, a obowiązki rządzenia państwem przekazywał swemu ulubieńcowi, rasowi Alula. Chodził w habicie jak mnich i pod koniec swego panowania istotnie przyjął śluby zakonne. Wówczas otoczył się zakonnikami i kapłanami, a znaczną część państwowych funduszów przeznaczył na budowę nowych kościołów i klasztorów.

Nienawidził katolików. Gdy przyprowadzono do niego czterech debterów (uczonych abisyńskich), którzy przyjęli katolicyzm i gorliwie go krzewili,

[1]) Konsul Sarzec był, zdaje się, Polakiem.

[2]) Achilles Raffray: *„Abyssinie"* Paryż—Plon 1876.

[3]) Pozornie przeczy temu sprawa rozbójników z Tirzy (patrz nr 36 „M. Nar.") Mojem zdaniem jednak paradoksalność wyroku miała swe źródło właśnie w barbarzyńskiej prostolinijności Teodora: za wierność tradycji należy nagrodzić, za bandytyzm ukarać; wszelkie pośrednie rozwiązanie było dla jego umysłowości zbyt skomplikowane.

Analogicznie rozumował margrabia Lantenac w znanej powieści Wiktora Hugo (*„Quatrevingt — treize"*) dekorując kanoniera krzyżem, by go następnie rozstrzelać.

kazał im powyrywać języki. Chętnie to samo zrobiłby katolickim misjonarzom , ale odstraszał go los Teodora. Zmusił jednak misje do odsprzedania mu gruntów, nadanych przez Teodora, po czem wydalił misjonarzy a pobudowane przez nich klasztory i seminaria kazał spalić. Katolicyzm, który przed 1872 r. poczynił tu już był znaczne postępy, został za rządów Jana niemal zupełnie wytępiony.

Pewnego dnia Jan ogłosił edykt, mocą którego wszyscy niechrześcianie (falaszowie, muzułmanie) mieli przyjąć chrzest. Stosując się do woli negusa księża abisyńscy, konwojowani przez zbrojną eskortę, zaczęli obchodzić wsie i miasteczka, zamieszkane przez „niewiernych". Muzułmanów i żydów popychano dzidami do pobliskiego stawu, przyczem kapłani odmawiali stosowne modlitwy. W rezultacie większość mahometan ratowała się ucieczką do pobliskiego Harraru.

Menelik, korząc się przed zwycięzcą, uratował na razie swe życie i władzę ale, rzecz prosta, nie czuł się w pobliżu Jana bezpiecznie. To też natychmiast po zakończeniu ceremonij koronacyjnych, powrócił pośpiesznie do Ankoberu i przez dziesięć lat unikał wszelkiej styczności z ponurym władcą Abisynii.

Nie próżnował jednak. Stolicę szoańską zaczęli nawiedzać agenci francuskich fabryk broni, proponując nabycie starych armat, wycofanych z obiegu karabinów i innych zużytych sprzętów wojennych, wszystko po dziesięciokrotnej cenie. Prawdopodobnie Menelik wiedział, że dostawcy go oszukują, ale godził się na to wobec braku innych źródeł broni. Anglicy bowiem od czasu wyprawy Napiera odnosili się do króla szoańskiego nieufnie — właśnie z powodu jego rozumu i patriotyzmu.

Pośpiech z jakim Menelik przystąpił do zbrojenia swej armii, tłumaczył się, z jednej strony, obawą przed Janem, a z drugiej planami podboju terytoriów, leżących na południe od Szoa. Zaczął od zagarnięcia ziem gallaskich, a gdy poobsadzał je swemi garnizonami, przystąpił z kolei do zdobywania terytoriów tajemniczego „cesarstwa" Kaffy.

Wzrost potęgi wasala zaniepokoił wkrótce negusa Jana. Nie chciał jednak angażować się osobiście w walkę z nim. Zamiast tego, hołdując zasadzie *divide et impera*, sprowokował do wystąpienia przeciw szoańczykom inną część Abisynii: Godżam, gdzie rządził ras Tekla Hajmanot, z tytułem „króla godżamskiego". Starcie z wojskami Menelika zakończyło się jednak druzgocącą klęską godżamczyków. Zaniepokojony tem negus ruszył na czele 75 tysięcy żołnierzy ku granicy szoańskiej, a Menelikowi rozkazał udać się na jego spotkanie do Oroilo. Mimo przewidywań. że grozi mu tam niebezpieczeństwo, Menelik zastosował się do rozkazu i z garstką jeźdców przybył do obozu Jana; wojskom swym jednak polecił posuwać się za nim w pewnej odległości i w razie ujęcia go, natychmiast uderzyć na Abisyńczyków. Jan, prawdopodobnie, dowiedział się o tym manewrze, bo przyjął Menelika bardzo życzliwie i po dłuższej rozmowie z wasalem poprosił go o rękę jego siedmioletniej córki, Zaoditu, dla swego dwunastoletniego syna i następcy tronu Arei Selassiego. W umowie, jaka następnie została zawarta między Janem a Menelikiem i Tekla Hajmanotem, władca uznał ich za współrządców państwa z tytułami królów (negusów) Szoa i Godżamu, a dla siebie zatrzymał tytuł króla królów (cesarza) i rządy nad prowincjami: Tigre (z Lastą) i Amharą. Granice królestw zostały ściśle oznaczone. Jan otrzymał od Menelika część ziem gallaskich, lecz wzamian pozostawił mu wolną rękę do czynienia podbojów na południu i wschodzie państwa szoańskiego. Ponadto król Szoa został uznany za następcę tronu abisyńskiego, a dopiero po jego śmierci miał odziedziczyć koronę dotychczasowy następca, Arei Selassie, syn Jana, a zięć Menelika (1882).

Równocześnie z ustaleniem nowego podziału państwa została zreorganizowana jego administracja kościelna. Dotychczas całe terytorium Abisynii stanowiło jedną metropolię — teraz podzielono ją na cztery części: 1) Tigre i Amhara (bez Aksumu); 2) Godżam; 3) Szoa; 4) m. Aksum — i w każdej z nich osadzono metropolitę. Nie nassąpiło to jednak odrazu, gdyż aleksandryjski patriarcha odniósł się do reform Jana dość niechętnie i, w obawie przed autokefalią kościoła abisyńskiego, zwlekał z obsadzeniem nowych stolic.

Wreszcie jednak życzeniom negusa stało się zadość. Patriarchą Etiopii został mianowany bisk. Piotr—jak okazało się wkrótce — człowiek mężny i prawy, zaś Szoa, Aksum i Godżam zostały obsadzone przez biskupów o ewangelicznych imionach: Mateusza, Marka i Łukasza. Po paru miesiącach Marek zmarł i Aksum zostało włączone do metropolii Piotra.

Negus wkrótce znienawidził swego patriarchę za odwagę, z jaką ten występował w obronie skazańców i potępiał drakońskie zarządzenia władcy.

Drobny napozór przypadek wywołał burzę. W Abisynii panuje zwyczaj, że negus obdarowuje nowego metropolitę jakimś cennym upominkiem. Jan podarował Piotrowi swego wierzchowca — wspaniałego muła z kapiącym od złota rzędem. Zwierzę to było największą ozdobą stajni królewskiej i nikt oprócz negusa nie mógł go dosiadać. Obdarowanie niem metropolity oznaczało nieomal zrównanie tego dostojnika z monarchą. Piotr jednak był cudzoziemcem, zwyczajów abisyńskich nie znał i do królewskiego daru nie przywiązywał większej wagi. Przez rok jeździł na mule, a gdy mu sprzykrzył się, podarował go wraz z całą uprzężą jednemu z księży, również koptowi. Ten z kolei ofiarował go swojej żonie, co właśnie wywołało katastrofę.

W pewne słoneczne popołudnie Jan, siedząc przy oknie swego zamku i obserwując przez lornetkę okolicę, spostrzegł w oddali jakiś świecący przedmiot. Przyglądając mu się uważnie, skonstatował, że blask bije od złotych blach jego siodła, na którem rozparła się jakaś tęga jejmość, poganiając królewskiego muła gałęzią.

Wściekłość Jana nie miała granic. Nazajutrz kazał sprowadzić nieszczęśliwego księdza i oćwiczyć go batami, w obecności licznych dygnitarzy. Już kat podniósł bicz, kiedy do sali wbiegł patriarcha i widząc leżącego kapłana, położył się na nim, zasłaniając go swem ciałem. Kiedy prze-

rażony oprawca rzucił bat, zwierzchnik kościoła podniósł się z ziemi i, zwracając się do Jana, wyklął go wraz z całem otoczeniem. Podobno negus wyrwał jednemu z rasów szablę i chciał nią przebić zuchwalca, jednak powstrzymali go od tego obecni. Piotr opuścił salę, uprowadzając z sobą skazańca.

Wiadomość o wyklęciu monarchy szybko rozniosła się po mieście, wywołując liczne zaburzenia. Przerażone duchowieństwo udało się procesją do patriarchy i negusa, prosząc ich o pogodzenie się. Jan ochłonął już z gniewu i był przestraszony nie mniej niż petenci, to też skwapliwie wyraził zgodę. Patriarcha po namyśle zdjął klątwę, ale nie uchroniło go to od zemsty obrażonego monarchy. Jan pozbawił go władzy nad metropolią, oraz wszelkich przywilejów z wyjątkiem prawa konsekracji biskupów, zaś rządy nad kościołem powierzył zwierzchnikowi klasztorów — eczegie.

(D. n.) BOHDAN GĘBARSKI

O PRAWO PRZEŚWIETLANIA UTWORÓW—II

ROZMOWA Z KRYTYKAMI

1

MIAŁEM zamiar w tej drugiej części przystąpić odrazu do przeglądu opinij, z któremi się spotkało moje studium p. t. „Aspazja i Alcybiades", ale orientuję się, że może czytelnicy nie bardzo wiedzą, o co w tej pracy mi chodziło.

Streściłem niewielką powieść Narcyzy Żmichowskiej „Pogankę" i, wziąwszy ją pod światło epoki, odnalazłem kontury paru współczesnych postaci, mianowicie Cypriana Norwida i jego ideału miłosnego, Marii Kalergisowej, późniejszej Muchanowowej.

Nie było trudno to wykryć, gdy się poprzednio dokonało paru czynności, mających na celu dobre ustawienie obrazu: 1) Trzeba było wyrozumieć naturę talentu powieściopisarskiego autorki, mianowicie te właściwości wyobraźni, które zmuszały ją do brania pomysłu fabularnego z życia, 2) żeby dokładnie z autorką się zespolić i odszukać, co ona mogła widzieć dla siebie potrzebnego do tej powieści, trzeba było odnaleźć punkt, z którego patrzyła (w przestrzeni i w czasie), jej pole widzenia i jej kąt widzenia (filozoficzno-wychowawczy), a w tym celu było konieczne dobre ustalenie dat według danych samego utworu i pośrednich, 3) wreszcie trzeba było poznać środowisko, którego życie personalne autorka wchłaniała wskutek nadzwyczajnie wysokiej temperatury uczuć gromadzkich w jej kółku, takich jak egzaltowana do wyżyn miłości przyjaźń, symbioza duchowa, połączona z potrzebą wzajemnej spowiedzi i osądzania się.

Zajął ją los młodego Norwida—szukała właśnie modelu do palącego ją i przyjaciół zagadnienia: stosunku sztuki do życia w systemie ideałów, wówczas dla ducha czasu aktualnym. Na tle monotonnego życia warszawskiego zdarzył się niezwykle efektowny, nie pozbawiony egzotyczności, iście powieściowy na ówczesną modę literacką wypadek. Miłość ubogiego poety do wielkiej damy z górnych sfer, bogatej i nadzwyczaj pięknej a głośnej na cały świat. Miała tę parę w obserwacji od r. 1840, kiedy poznała Norwida i tę panią aż do daty ukończenia powieści w r. 1846. Zginęli jej coprawda z oczu za granicą, ale słyszała o nich opowieści, jak z tysiąca i jednej nocy, a wszystko działo się efektowniej niż potrzeba było do pierwotnego planu powieści.

Z czego można było poznać, że wzięła za model Norwida? Główny rysunek zdarzeń w romansie odpowiada faktom z jego romansu, i to naprowadza na to przypuszczenie, a utwierdza w niem to, że w pierwotnie nakreślonej introdukcji (w „obrazku wstępnym") dała żywy portret i jego i jego sobowtóra, Władysława Wężyka, który Norwida wywiózł za granicę. Skojarzenie tych dwu postaci nasunęło autorce pomysł artystyczny rozczepienia psychiki Cypriana na dwie osoby. On i Benjamin to dwie strony duszy rozłamanej w walce wewnętrznej między artyzm, który jest amoralny, a życie, podlegające prawu moralnemu.

Co mi dało prawo wyróżnienia, że portrety Norwida i Wężyka (Benjamina) należą do figur powieściowych, bo przecież w owej introdukcji istnieje szereg innych osób? Decydującym dla mnie był fakt, że w wiele lat później zapytano Żmichowską, kogo w tej galerii portretów przedstawiała, w odpowiedzi (ob. listy) wymieniła wszystkie osoby, tam przy kominku ugrupowane, oprócz tych dwu. Zostawiła te dwie postaci domyślności cudzej, ale nie chciała nasuwać sama poszlaki, z kogo brała wzór do powieści, bo to było drażliwą tajemnicą artystki, tem usilniej strzeżoną, że w tej dobie Norwid żył jeszcze.

2

Domysł mój rozmaicie został przez krytykę przyjęty: jedni zaprzeczyli mu, nawet śmiejąc się, bo jakoby ta sprawa była już wyjaśniona ostatecznie. Wspominano nawet o „dokumentach". Mianowicie ustalono już dawno, że Żmichowska opisała w powieści stosunek swój do Pauliny Zbyszewskiej. Drudzy, uznając prawdopodobieństwo mojej hypotezy oświadczyli, że ze stanowiska krytyki formalnej jest to sprawa zupełnie dla nich obojętna. Ale byli i tacy, którzy całkowicie stanowisko moje przyjęli.

Można się oczywiście spierać, ale co do mnie osobiście, ze względu na trud, jaki poniosłem największej wagi przywiązuję do tych opinij, które wygłosili znawcy przedmiotu. Jakiż bowiem jest stan rzeczy? Odpowiem na to przykładem.

O książce mojej i o stanowisku Boya-Żeleńskiego w tem zagadnieniu pisze interesujący fejleton jeden z najwybitniejszych znawców literatury i życia w pierwszej połowie XIX w.—St. Wasylewski („Gaz. Polska" z 8.XII.1935 r.). Ale osią jego

rozważań jest to, że wcale pism Żmichowskiej nie zna. Fejleton kończy się słowami: „Niema innej rady, trzeba rozciąć kartki „Poganki". Czynię to i zasiadam do lektury". Taki jest przeważnie stan wiedzy o tym okresie literatury warszawskiej. A co gorsza ci, co zajmowali się tym okresem z powodu Norwida, znaleźli się jaknajdalej od rzeczywistości historycznej. Mogli się długo o Norwida ocierać w dokumentach literackich epoki i nigdyby go nie rozpoznali.

Tu się dopiero pokazuje, że jednak historycyzm i psychologizm, stosowany do prześwietlania utworów, jest pożyteczny. Malowanie Norwida bez konfrontacji z rzeczywistością doprowadziło do mitu, z którego historykowi literatury trudno już wycofać się na stanowisko obiektywności. Mitologizm tak zaćmił im oczy, że nie rozpoznają figur w rysopisach autentycznych, ignorując możliwości psychologiczne.

Momentem decydującym w tej sprawie musi być rozpoznanie Norwida w Edmundzie Żmichowskiej. To jest dokument. Pan St. Wasylewski przyznaje mi „sukces" w polemice z polonistami o tę figurę. Przekonałem jakoby, że to nie jest Karol Baliński, jak mniemano, lecz Norwid. A jednak zaraz po tem dodaje: „a dokumenty mówią co innego". Więc o jakiż to jeszcze dokument chodzi? O Paulinę Zbyszewską? Ależ to nie dokument, lecz domysł i to gołosłowny prof. Manna, Drogoszewskiego. Jeżeli to starczy, to świta mi nadzieja, że po pewnym czasie i moja hypoteza stanie się dokumentem...

3

Wielką rolę w naszej polonistyce odgrywa lojalność koleżeńska i zawodowa, wzajemnie badaczy asekurująca od krytyki i pozwalająca wygodnie ograniczać się do cytowania pomysłów już drukowanych bez ich sprawdzania, z jednoczesną gotowością do obrony ich autorytetu przed krytyką „laików". To cytowanie tak przyklepuje nawet jawne pomyłki, że stają się wkrótce „dokumentami", twardemi jak opoka. Sprawcy błędów, mających takie powodzenie, ubiegają się nawet o tytuł pierwszeństwa. Oto prof. Drogoszewski w recenzji swej pisze:

„Autor [mowa o mnie] natrząsa się z tych, którzy rozpoznawali w „Pogance" tragedię [?!] Żmichowskiej w stosunku do Pauliny Zbyszewskiej (Mann, Boy). Otóż tu muszę wtrącić słówko o sobie. Mann ogłosił studjum o „Pogance" w r. 1916. Lecz tej powieści poświęciłem kartkę i ja w życiorysie Żmichowskiej w ostatnim tomie „Stu lat myśli polskiej". Wprawdzie tom ten ukazał się dopiero w r. 1924, ale cały materjał tomu był złożony w redakcji w czerwcu 1914 r. I to pierwszeństwo mojego pomysłu sobie zastrzegłem. Byłem zbyt dumny z niego".

Dlaczego moje argumenty Drogoszewskiego nie przekonały? Odpowiada: „W listach Żmichowskiej pełno Pauliny, ale Norwida, ale Marji Kalergis ani na lekarstwo, ani cienia".

Rozmowa się urywa, bo staje się zbyt symplistyczna. Zdarzenie z Pauliną trafiło się w czasie pisania powieści, a powieść ma fundament sprzed kilku lat. Powieść nie jest dalszym ciągiem listów — zgoła odmienne to procesy twórczości, choć pióro to samo.

Zbyt wielkie istnieją różnice w poglądach na psychologię twórczości. Ale niechżeby przynajmniej co do strony formalnej była zgodność, przedewszystkiem co do czasu objętego powieścią.

Nie może być mowy o porozumieniu w tej sprawie póki nie ustalimy czasu, w którym rzecz mamy ustawić. Wymaganie chyba nie przesadne, gdy chodzi o pracę historyczną. Jakże inaczej złapać moment psychologiczny tworzenia? Z tego, jak ten moment badań jest lekceważony, wnosić muszę, że wogóle dla krytyki moment psychologiczny jest obojętny. Bo jakże można coś ścisłego powiedzieć o utworze, mającym widoczny związek z żywemi w środowisku faktami, gdy ten utwór nie jest ustalony w czasie co do swej genezy? A nie jest to obojętne dla sprawy, czy zabawa intelektualna przy kominku, z której ta przypowieść ma swój początek, zdarzyła się w r. 1840 czy 1844.[1])

Żmichowska kończyła ten utwór w latach 1845 — 1846, ale wyraźnie w przedmowie wyjaśnia, że poczęła go „kilka lat temu". Krytycy nie chcą o tem słuchać, gdy im na to zwracam uwagę i uporczywie trzymają się błędnej informacji, jakoby Żmichowska zaznajomiła się z „entuzjastami" dopiero w 1843 lub 1844, bo do tego czasu (redakcji „Przeglądu naukowego") odnoszą się zapisane o tem wzmianki. Utrzymuje to nawet p. Aureli Drogoszewski, autor największego studjum o Żmichowskiej. W recenzji mojej pracy twierdzi, że Żmichowska nie mogła znać Norwida, bo on wyjechał z Warszawy 1842, a ona robiła znajomości w Warszawie dopiero w 1843 r.

Tak mu każe utrzymywać solidarność z urzędową tradycją „Poganki", ale przecież wie, że ta rzecz nie jest zbadana. Sam w swojem studjum (str. 63) pisze, że Żm. weszła w świat literacki po powrocie z Paryża i Poznania (1839), że bywała w Warszawie po parę miesięcy. Mnie nie chodzi o to, kiedy „dłużej" zamieszkiwała w Warszawie, chodzi konkretnie o ten jeden wieczór przy kominku, kiedy zdarzyła się tak interesująca dyskusja. Kto by się liczył z momentami psychologicznemi w zdarzeniach literackich, ten by odrazu spostrzegł, że tutaj w grę wchodziło jedno z najpierwszych wrażeń Żmichowskiej jakiego mogła doznać po powrocie z obczyzny do Warszawy. Skądżeby tyle radości było w uczuciu, że się znalazła wśród swoich, w atmosferze warszawskiej? Zresztą sama pisze, że to było przed kilku laty, a więc koło r. 1840. Nie mamy żadnej podstawy zadawania kłamu twierdzeniom Żmichowskiej i opisom jej stanów duchowych. Warszawa w r. 1843 nie byłaby już dla niej rewelacją.

(Dok. nast.) ZYGMUNT WASILEWSKI

[1]) Ktoby z młodych polonistów zajmował się Żmichowską, niechby zadał sobie trud odszukania — według adresu w listach, a potem w archiwach kamienic—dawnego mieszkania Skimborowiczów, opisanego we „Wstępnym obrazku", a dalej mieszkania, gdzie był „Przegląd Naukowy". To by miało swoje znaczenie w tej sprawie. Należałoby odnaleźć korespondencję Skimborowiczów.

GŁOSY

KAMPANIA SZKOLNA 1936—37. W d. 1 września puszczono w ruch szkoły. Społeczeństwo obudziło się z wakacyjnego *dolce-far niente* i zadygotało od maszyn przerabiających młode pokolenia na kompetentnych obywateli. Rodziny dostarczyły produkt surowy lub półfabrykaty, państwo bierze na siebie resztę zachodu. Albo samo prowadzi szkoły, albo dozoruje prywatne. Wielka to, doniosłego znaczenia przetwórnia.

Mamy tu przed sobą jedno z najbardziej skomplikowanych zagadnień społecznych, jaknajgłębiej sięgająca w żywy organizm narodu, — w serce rodzin. Rzec można, wszystkie zagadnienia cywilizacji i bytu narodowego tutaj się splątują swemi korzeniami. W fabrykach tych przygotowuje się przyszłość rozwoju narodowego. I nie tylko to, — szkoły, jak żadna inna instytucja społeczna, uginają się pod odpowiedzialnością wobec kontrolujących je żywych mas ludzkich, które im zawierzyły szczęście swych dzieci, a więc i swoje.

Zjawisko węzłowe, centralne w życiu społeczeństwa, wysoce dramatyczne, jeśli je brać nie biurokratycznie, lecz misyjnie. Biada społeczeństwu, jeśli państwo nie rozumie dramatyczności swej misji, albo swoją misję zgaduje, eksperymentując na żywem ciele narodu według lekkomyślnych doktryn.

NAJWIĘKSZY KŁOPOT jest z tem, aby państwo, będące przedsiębiorcą na polu wychowania publicznego, miało dobrą notę w społeczeństwie ze swoich kompetencyj pedagogicznych. Na tę swoją maturę, a więc na zaufanie społeczeństwa, pracuje państwo całokształtem swej polityki. Najważniejszym zaś przedmiotem w tym egzaminie jest stosunek jego do narodu, odpowiedzialnego duchem swoim za byt cywilizacji, a więc i państwa.

Kto ten stosunek improwizuje, bez dostatecznego pogłębienia swego stanu moralnego, wiedzy socjologicznej i historycznej, ten nie może być dobrym wychowawcą w znaczeniu zachodnio-europejskiem.

Szkoła nasza ostatniemi laty ciężko chorowała na brak tej kompetencji u wychowawców. Można sobie wyobrazić sytuację szkoły, gdy ni z tego, ni z owego przedsiębiorca zanegował prawo do dzieci zarówno rodzicom, jak i narodowi. Był to okres walki o dziecko, walki ze szkołą prywatną w szerokiem znaczeniu tego słowa, bo zarówno ze szkołą prywatną publiczną, jak i domową o nauczanie w duchu narodowym, a nawet religijnym.

Przedsiębiorca orzekł pewnego dnia, że odtąd niema narodu, jest tylko państwo, wychowanie będzie odtąd państwowe, a dzieci są własnością państwa, konkretnie elity rządzącej, która wogóle tworzy nowe społeczeństwo, na nowych zasadach; historia Polski zaczęła się na nowo. Za kwestionowanie tej zasady odpowiada ciężko i dziecko i jego rodzina, jako nieprawomyślna. Przeszłości nie ma, istnieje tylko rzeczywistość obecna, sięgająca r. 1905. *Magistra vitae* naucza tylko tej rzeczywistości i planuje przyszłość.

Na maturze 1936, gdy młodzieniec opowiadał płynnie dawne dzieje, na twarzy wizytatora malowało się zniecierpliwienie:

— No dobrze, dobrze. Proszę lepiej wymienić adresy wszystkich ministerstw w Warszawie.

Dzieci cały rok obkuwały się informacjami politycznemi z dzienników, oczywiście prorządowych. Które nauczyło się schlebiać osobistościom nowego reżymu, mogło być pewne promocji. A kto należał do młodzieży legionowej lub „Przedniej Straży", do tego należała przyszłość...

— Proszę pana—mówił do profesora woźny—tego dawniej nie było. Wchodzę do kancelarii i patrzę — na fotelu siedzi ten z siódmej klasy, co to przewodzi w „Przedniej Straży", a dyrektor stoi przed nim i tłumaczy, taki zdenerwowany...

WSZYSCY BYLI ZDENERWOWANI. Bo bez przeszłości jakbyś cień swój zgubił, jakbyś za bękarta był podany. A czy to łatwo przyszłość robić całkiem z nowego?

Młodzież wpadła w ręce agitatorów, stręczycieli przyszłości i frontów. Po kilku latach takiej edukacji społeczeństwo wyglądało, jak zakład nerwowo chorych, opętanych nagminnie manią reformowania i przebudowy. Namnożyło się welinowych czasopism, dobrze subsydiowanych, a wydawanych przez młodzież nietyle dojrzałą, ile obiecującą, obiecującą mianowicie wiele szczęśliwości światu po dokonaniu przewrotu, który właśnie jest „planowany". Brakowało chyba tylko dziennika specjalnego. Chesterton miał dla takiego pisma tytuł gotowy: „Codzienny Reformator". Musiano się posiłkować organem nieco starszej młodzieży: Stpiczyńskiego, Rzymowskiego, Wielopolskiej. Tam też powstał ostatecznie instytut planowania przyszłości.

Jakąż przyszłość inną można „wyplanować", wychodząc z założeń liberalnych, demokratycznych i międzynarodowych, jeśli ta przyszłość ma być ostatnim krzykiem mody? Oczywiście komunizm. Conajmniej trzecia międzynarodówka!

I oto ci, co mieli uzdrawiać społeczeństwo, narobili największego zamętu.

Gdyby tak dalej miała iść edukacja, doszłoby do stosunków hiszpańskich. Szukano „frontu" tędy-owędy, elita wpakowała się w ślepy zaułek, gdzie „przyszłość" zawierzono w ręce Walerona i jeszcze kogoś. To ostatecznie ośmieszyło pedagogów i sanatorów społeczeństwa.

GŁUPSTWO JEST WIECZNE, GŁUPSTWO NIE MOŻE UMIERAĆ — tak ironizował Słowacki. Ale głupstwu nie można się poddawać, gdy chodzi o przyszłość narodu. Przestrzega tego samo życie i koryguje. Gdy do planowanych systemów wypadło wprowadzić—z nakazu życia—taki punkt jak obrona kraju, wtedy zaczęło świtać w głowie, że jednak pomimo wszystko państwo bez jakiegoś życzliwego współdziałania z narodem — i to polskim—jako gospodarzem polskiej cywilizacji i suwerenem państwa, obyć się nie może. Jak pogodzić ideały frontu ludowego: pacyfizm, kosmopolityzm, bezbożnictwo — z wiarą w naród, z patriotyzmem, nawet nacjonalizmem?

Kłopot wielki, zamęt, ale z absurdu trzeba

było coś ustąpić. Od pewnego czasu wyraz „naród” darowany ma debit. O komunizmie się mówi już jako o narodowym komunizmie. Już są organy: „Naród i państwo”. Przykład krwawy Hiszpanii także swoje robi. Dość, że o narodzie już się mówi.

Instynkt narodowy i rozsądek przezwycięża ciężki kompleks codziennego reformatorstwa. Dało się to już odczuć w dziedzinie szkolnictwa. To, co powiedział teraz (przez *radio*) p. minister oświecenia publicznego, prof. Świętosławski na otwarcie roku szkolnego, budzi w społeczeństwie otuchę, że system filozoficzny braci Jędrzejewiczów, państwa bez narodu, system kultury mechanicznej poza moralnością i religią i wreszcie cały ten sport reformatorski — zdjęte będą z bark dzieci naszych i młodzieży, ustępując miejsca jakiejś rozwadze. Czas się zastanowić, że oprócz interesów „elity” istnieją jeszcze jakieś dziejowe interesy narodu i że oprócz przyjemności panowania i planowania, istnieje jeszcze odpowiedzialność za losy narodu. (Z. W.)

KULISY PROPAGANDY

NIEDAWNO „Kurier Warszawski” poruszył opinię polską rewelacjami, wprost sensacyjnemi, o środkach i metodach hitlerowskiej propagandy wszechniemieckiej, która działa także i za pomocą przekupstwa, szpiegostwa i terroru. Aktywność szpiegów niemieckich w Belgii jest coraz większa. Wykrywane są coraz nowe afery szpiegowskie. Giną dokumenty z wojskowego instytutu kartograficznego, wśród robotników zajętych przy budowie fortów wykrywani są obcy oficerowie. Ajenci „Gestapo” i ich informatorzy, w liczbie dwudziestu paru tysięcy, rozsiani po świecie, to rzecz, na którą zwłaszcza najbliżsi sąsiedzi Niemiec nie mogą pozostać obojętni.

Ale w całokształcie państwowej polityki niemieckiej istnieją między innemi różne instytuty, których działalność rozpościera się na poszczególne tereny, na razie niedostępne dla niemieckich organów państwowych. Ta niedostępność płynie z tego, że organy państwowe pragną uniknąć bezpośredniej działalności. Wystarcza zwrócić uwagę na precyzyjną działalność penetracyjną mediolańskiego *Banca Commerciale*, w którego radzie nadzorczej znajdował się jeszcze na początku wojny światowej Kempt, prezydent niemieckiego *Reichstag*'u. Rzymski oddział *Credito Italiano* był znów siedliskiem niemieckiego politycznego szpiegostwa. Afera z *Union Douanière Européenne* w Paryżu ujawniła, że instytut ten, mający na celu rozbrojenie (oczywiście Francuzów) militarne, gospodarcze i moralne, jest finansowany przez niemieckich fabrykantów broni. W Berlinie znów powstał instytut mający na celu zbieranie dokumentów, tyczących się spraw politycznych, ekonomicznych i kulturalnych wschodnich sąsiadów Niemiec, a więc przedewszystkiem Polski. Przed wojną światową Niemcy zakładali poza granicami swego kraju sporo różnego rodzaju naukowych czy handlowych instytucyj, mających ne celu przedewszystkiem wywiad. Na przykład w Rosji celowi temu służyły banki, instytucje przemysłowe i t. p., dzięki czemu tak szybko na początku wojny światowej zdezorganizowano transport, we Włoszech zaś ulubioną formą były instytucje naukowe, np. archeologiczne, penetracje w prasie i t. p.

W Berlinie istnieje założony w r. 1924 Niemiecki Instytut Prasowy. Pierwsza rata na założenie tego instytutu figurowała już w pruskim budżecie na r. 1914, wszakże wojna światowa pokierowała propagandę niemiecką na inne tory. Ale po wojnie powrócono do pomysłu stworzenia instytutu prasowego. Kierownikiem jego został prof. E. Dovifat, ale jego duszą, zwłaszcza w działalności zagranicznej instytutu jest dr. Karl Bömer, aktualnie także szef prasowy wydziału zagranicznego partji hitlerowskiej (*Leiter der Pressabteilung des Aussenpolitischen Amtes der NSDAP*). Cała prasowa polityka niemiecka ogniskuje się w ministerium propagandy. Prasa niemiecka otrzymuje poufne instrukcje nietylko co pisać, ale i jak pisać. Podejrzewać można, że odpowiednie instrukcje otrzymują także i gazety niemieckie, wychodzące poza granicami Niemiec. Przed dwoma laty w czerwcu ministerium propagandy wydało instrukcję, że nie wolno podawać żadnych wiadomości na temat obrony kraju, wszelkie informacje w związku ze sportem wojskowym, ćwiczeniami bronią i t. p. mają byś wykreślone, a redaktorzy podający tego rodzaju wiadomości zostaną oskarżeni o zdradę stanu. Podobne instrukcje wydawane są stale nietylko w zakresie wiadomości z dziedziny wojskowej, technicznej, spraw zagranicznych, ale i wewnętrznych. W sprawie ostatniego np. incydentu z Gdańskiem prasa niemiecka była całkowicie pod batutą ministerstwa propagandy w Berlinie. Prasa otrzymuje instrukcje, aby poddawać krytyce jakiś dział życia publicznego, dzięki bowiem takiej krytyce usunie się jednostajność i wywoła wrażenie jakiejś różnorodności na polu ujednostajnionego dziennikarstwa hitlerowskiego.

Rząd Trzeciej Rzeszy urabia i wpływa nie tylko na swoją prasę. Został opracowany olbrzymi plan politycznej akcji prasowej w stosunku do zagranicy i do prasy poza granicami Niemiec.

Rozprawa sądowa, jaka się niedawno toczyła przed sądem bazylejskim przeciwko ajentowi tajnej policji niemieckiej (Gestapo) ujawniła, że „Niemcy badają najdokładniej, jakiemi środkami możnaby w danym kraju prędko i skutecznie wpływać na opinię publiczną, szukają najsłabszych punktów, o które by propaganda niemiecka mogła zahaczyć, by wywołać w pewnem środowisku nastroje dla Niemiec przychylne, stworzyć atmosferę sprzyjającą specjalnym celem niemieckim. Jest to już wywiad wyższego rzędu...”

W celu przedsięwzięcia takiej akcji rząd niemiecki spowodował, że w listopadzie 1933 r. nastąpiło połączenie niemieckich ajencyj prasowych i powstało *Deutsches Nachrichtenbüro*, jako spółka prywatna z ograniczoną odpowiedzialnością. Ale to była fikcja, bo kierownikiem ajencji telegraficznej został komisarz hitlerowski. W ten sposób minister propagandy Goebbels osiągnął centralizację i monopol źródeł informacyj. Celem zaś ostatecznym tej monopolizacji jest skoncentrowanie wszystkich wiadomości politycznych, gospodarczych i społeczno-kulturalnych z za granicy, dalej — zużytkowanie wiadomości politycznych i gospodarczych do posunięć politycznych w stosunku do zagranicy. Wreszcie *Deutsches Nachrichtenbüro* ma jeszcze dział tajnych wiadomości oraz specjal-

ną służbę defensywną przeciwko „szkodliwym” obcym informacjom.

W tej złożonej organizacji aparatu polityczno-propagandowego rolę pomocniczą a ważną spełnia *Deutsches Institut für Zeitungskunde*, na którego czele przed hitlerowskim przewrotem stał pruski minister oświaty, a obecnie Goebbels, minister propagandy. Ten instytut prasowy współpracuje z wydziałem zagranicznym NSDAP. A można też przypuszczać, że cała ta organizacja propagandy jest związana tajnemi nićmi z Gestapo, jest jedną z jej emanacyj. W każdym kraju — poza Rzeszą — a więc i w Polsce, Niemiecki Instytut Prasowy posiada swoich zaufanych korespondentów, z którymi współpracuje. Taktyka polega na tem, że rzadko kiedy są to Niemcy, chodzi bowiem o pozyskanie członków i informatorów spośród danego społeczeństwa. Ci informatorzy przesyłają Niemieckiemu Instytutowi Prasowemu regularne sprawozdania, dotyczące stosunków prasowych danego kraju, a więc gazet, dziennikarzy, publicystów i t. p.

Ci informatorzy są pewnego rodzaju „tajnymi radcami” rządu niemieckiego, bo dawniej byli mianowani przez pruskiego ministra oświaty, a obecnie przez ministra propagandy.

Gigantycznie rozbudowany aparat propagandy niemieckiej dzierga sieci w każdym kraju, pamiętać powinni o tem zwłaszcza sąsiedzi, odkrycia bowiem policji czechosłowackiej, poczynione w Pradze, są poprostu zatrważające.

W. W.

NAUKA i LITERATURA

PRACE HISTORYCZNO-LITERACKIE

„KSIĘGA zbiorowa ku czci Ignacego Chrzanowskiego” (Kraków 1836) potężny tom o sześciuset kilkudziesięciu stronach ,zawiera trzydzieści parę prachistoryczno-literackich, złożonych w hołdzie przez uczniów krakowskiemu profesorowi, który obchodził w lutym siedemdziesiątą rocznicę swych urodzin. Księgę otwiera wstępny artykuł Fr. Bielaka, kreślącego sylwetkę Ign. Chrzanowskiego, jako profesora i jako uczonego. I właśnie ta sylwetka, podkreślająca, jak to Chrzanowski przez całe swoje życie potrafił nie zamykać się w pewnych określonych tematach ani też ograniczać swej indywidualności twórczej jedną ciasną doktryną metodyczną, wyjaśnia w znacznej mierze charakter całego tomu rozpraw i artykułów. Można bowiem o ich autorach powiedzieć, że zarówno w wyborze tematów, jak i w metodach badawczych idą śladem swego profesora: tak ten tom jest szeroki w diasporze tematowej i tak różny w ujęciach metodycznych.

Na czoło tomu wysunięto trzy „zasadnicze” artykuły: Wł. Folkierskiego „Na lotnych piaskach terminologii historycznej”, St. Cywińskiego „Sprawa podziału dziejów literatury polskiej na okresy” oraz St. Kołaczkowskiego „Rekonesans”. Artykuły związane są wspólną myślą rewizjonistyczną wobec ustalonych w nauce poglądów na t. zw. okresy dziejowe. Na te lotne piaski terminologji historycznych wysyła swój rekonesans Kołaczkowski; pragnąłby, aby za nim poszła cała kompania badaczy, aby się przekonano, że racjonalizująca praca uczonych tworzy niekiedy rzeczy, które właściwie są fikcją wobec żywej rzeczywistości. Rekonesans Kołaczkowskiego jest śmiały, ale, jak to zwykle u tego uczonego, wybiera on takie ścieżki, na których jeźdźcowi łatwo o złamanie karku. Prostszą drogą kłusuje wywiad Folkierskiego i odkrywa ciekawe sprawy. Istotnie, podział na epoki w dziejach kultury to coś wybitnie sztucznego, jeżeli obok francuskiego racjonalizmu klasycznego spotyka się biegunowe przeciwności w kształcie rozkwitu teatru hiszpańskiego, prawego spadkobiercy średniowiecza. Koniec końcem na tem rozbijaniu ustalonych formuł schematycznych najgorzej wychodzi jeszcze jeden tradycyjny schemat Cywińskiego, ustalający nowy podział okresowy literatury polskiej, owoc dłuższej zresztą i bardzo sumiennej pracy wileńskiego uczonego.

Reszta prac, zawartych w tomie naszym, tworzy całą prawie historię literatury polskiej, komponowaną oczywiście fragmentarycznie, ale w pewnej ciągłości chronologicznej zjawisk literackich. Lwią część zajmują w nim studia i szkice staropolskie, rozpoczynające się rozprawą T. Lehra-Sławińskiego („Uwagi o języku Bogurodzicy”). Jedyne to studium językowe wśród reszty historyczno-literackiej książki. Samotnik lingwistyczny, sam przez się ciekawy, jako dalszy ciąg bogatej literatury na temat strony językowej „Bogurodzicy”, ma w tej chwili posmak aktualności ze względu na niedawno stoczoną a jeszcze nieprzebrzmiałą kampanię o sprawę autorstwa najstarszego zabytku literackiego u nas. I wydaje się, że może podeprzeć zagrożone poniekąd pozycje J. Birkenmajera w jego batalii ze światem uczonych. Z dwunastu studjów staropolskich chętniebym wyróżnił dłuższy *essay* Borowego, który rewindykuje dla Kniaźnina poczesniejsze miejsce na osiemnastowiecznym polskim Parnasie, jako autora istotnie ekspresyjnych „Erotyków”, skazanych na zapomnienie — i to nie bez winy pewnej samego ich autora, „Kniaźninka”.

Studia nad romantyzmem otwiera szkic Załuskiej o „Malwinie” M. Wirtemberskiej, a kończy ze swadą napisany artykuł Zaleskiego o „Wartościach żywych mesjanizmu polskiego”; artykuł nie przynosi ani w treści, ani też w wyniku rozważań nic rewalacyjnego, ale dobrze, że przypomina — za Ujejskim — o tym istotnie wiecznie żywym prądzie umysłowo-kulturalnym, dla którego i w chwili obecnej dałoby się wiele odnaleźć żywych analogij.

Centrum prac nad romantyką — to niewątpliwie wnikliwe a czujące studium St. Pigonia „o oratorium wieszczem S: Goszczyńskiego”. Samo „Oratorium” wydrukowano po rozprawie, jako ciekawy a tragiczny dokument dezorganizacji twórczych władz poety, któremu przy czynnych władzach wyobraźni zbrakło jednak mocy wcielającej wyrazu.

Najsłabiej obsadzono pozycje pozytywizmu, (rozprawa Krzewskiego o „Zarysie literatury Chmielowskiego”, Kijasa o „Źródłach historycznych Potopu Sienkiewicza“ i Młodej Polski (analiza stosunku St. Brzozowskiego do Nietzschego — pióra K. Wyki oraz bibliograficzna rozprawa Płoszewskiego o „Księdze Ubogich” Kasprowicza). Trudno mi zakwalifikować bój Zofji Reutt-Witkowskiej z „bojownikiem romantyzmu”; może to być fraszka krytyczna, ale czyta się ją z niewątpliwą przyjemnością, jako fascynujący miejscami amalgamat subtelnej ironii — i kobiecej przekory.

Całość „Księgi” zamyka „Bibljografia prac Ign. Chrzanowskiego”, sporządzona wspólnemi siłami czterech współpracowników; a był to trud nie lada, zważywszy okoliczność, że zestawienie przynosi około tysiąca pozycyj prac naukowych polskiego uczonego. Jak się rzekło, przeważa w „Księdze” materjał staropolski, ale trudno by powiedzieć, czy tylko ilościowo. W całości swej dzieło przynosi sporo nowego materiału faktycznego, w niektórych wypadkach — dużo również nowych przemyśleń. „Księga” powinna znaleźć żywsze echo w literaturze naukowej, choćby nawet z racji wskazanych na początku artykułów naczelnych, które napewno sprowokują do myślenia i sprzeciwów.

A. K.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Do rzadkich operacyj w zakresie historii literatury należy wydobycie z popiołów i odbudowanie twórczości pisarskiej Cypriana Norwida. Praca jeszcze nie ukończona. Nie przeczy temu wydawca najkompletniejszego dotąd zbioru pism Norwida, T. Pini. Brak podobno jeszcze niektórych utworów, po archiwach prywatnych i publicznych zalegają jeszcze drobne pisma, a nadewszystko listy. Niema innego

sposobu, jeno wydawać po kolei, co się uda odnaleźć, nie czekając kompletności absolutnej. Wydali już w ten sposób sporo listów: Kossowski, Krechowiecki, Erzepki, Ujejski, Makowiecki. Obecnie sporą garść listów dorzucił niestrudzony badacz literatury Stanisław Pigoń.

Czytelnicy „Myśli Narodowej” znają tę jego pracę, tutaj bowiem autor ogłaszał kawałkami cały ten przyczynek. Robiliśmy z tych publikacyj odbitki i teraz prof. Pigoń, zebrawszy je w całość, wydał w książce. Nosi ona tytuł: „Cyprjan Norwid. Słowo i litera w rozwoju dziejowym uważane. Garść listów z lat 1845 — 1883. Z autografów zebrał i wydał Stanisław Pigoń”. Książka obejmuje 165 stron. Jest na składzie w administracji „Myśli Narodowej” (Jerozolimska 17), gdzie ją można nabywać po cenie zł. 3—za egzemplarz (w tem przesyłka pocztowa).

Nabyć ją powinien każdy, kto posiada dzieła Norwida, bo to jest ich uzupełnienie. Znalazło się tu dziesięć nieznanych dotąd rozprawek i 58 listów, nieraz bardzo ważnych. Komentarze prof. Pigonia lakoniczne, ale ścisłe i gruntowne sprawiają, że nie jest to tylko zbiór materjałów, ale kapitalny przyczynek do monografii o Norwidzie. Prof. Pigoń doprowadził sztukę edytorską do mistrzostwa, a każdy jego komentarz jest rezultatem gruntownej pracy krytycznej i archiwalnej.

*

Alina Świderska: „Prometeusz i perliczka”. Warszawa 1936. F. Hoesick.

Powieść o życiu Ryszarda Wagnera, szlachetna i dyskretna, wyróżnia się korzystnie spośród licznych teraz powieści biograficznych. Tego typu powieści o życiu artystów, uczonych i polityków, produkowane w ostatnich latach przez reklamowanych na Europę autorów (Maurois, Ludwig i Zweig), traktują temat bez ceremonii, zatrącając niejednokrotnie o bezczelność. Tak np. w powieści Maurois'a o Schelley'u „Dziecię słońca” autor snując bez zająknienia banały dialogów między Shelleyem a Byronem, jakby nic klepie ich po ramieniu.

Powieść Świderskiej, może zbyt rozwlekła (363 stron, a stanowi to dopiero część zapowiedzianej całości), obciążona zbytecznemi bodaj streszczeniami tekstów oper, ujmuje czytelnika tem, że poważnie, z naiwnym wdziękiem i z zachowaniem odpowiedniego dystansu wprowadza go w duszę Wagnera i przygody jego burzliwego życia.

Sympatyczny talent autorki na dobrze podmalowanem tle epoki i świata muzyki trafnie zarysowuje sylwetki kompozytorów Berlioza i Liszta, skrzypka Lipińskiego, anarchisty rosyjskiego Bakunina, dyrygentów orkiestr, śpiewaków i śpiewaczek, krytyków i melomanów, w atmosferze miast: Paryża, Wiednia, Drezna, Pragi i różnych zapadłych kątów Francji, gdzie kompozytor chronił się przed zgiełkiem świata i przed swą żoną, „perliczką”.

Przewodnia myśl książki swobodnie porusza się w nawale materiału biograficznego. Autorka zdaje sobie sprawę z potęgi geniuszu Wagnera, i z artystyczną miarą uwydatnia rozmaite etapy jego twórczości, kolizje wynikające z jego impulsywnego usposobienia, kochliwość, humor i kłopoty finansowe.

Książka ciekawa i piękna. (A. W.)

*

Janina Brzostowska. „Bezrobotni Warszawy 1936”. Powieść. Warszawa 1936. F. Hoesick.

Utalentowana poetka, z byłej grupy poetów „Czartaka” sięgnęła w tej książce prozą po laury pisarki społecznej. Powieść, raczej kilka nowel sfastrygowanych w całość, byłaby swemi lirycznemi nastrojami, np. opis zawiei śnieżnej pod wieczór na ulicach, artystycznie poprawna.

Gorzej z jej „ideą”.

Autorka, współczując z ofiarami katastrofy bezrobocia, wyobraża sobie społeczeństwo wedle recepty socjalistycznej o kapitale i pracy. „Burżuje krwiopijcy” dybią na krzywdę robotnika, a w tem dopomaga im sąd i policja.

W Warszawie, bo to historia o mieszkańcach baraków na Annopolu, wahając się między powieścią a reportażem, nie wspomina o tragedii pracowników umysłowych, lekarzów, prawników, inżynierów, nauczycieli, buchalterów i tylu innych, zdanych na nędzę i śmierć głodową. Bezrobotni, to jedynie pracownicy fizyczni, „proletariusze”, wyzyskiwani przez „kapitał”, odgrodzeni od świata „ludzi sytych i dobrze ubranych”.

Ten prymitywny pogląd wyraża się w słowach „dla nędzarzy niema ojczyzny”, „płacz tu nie pomoże. Trzebaby raczej z gruntu zmienić ten świat, — podły jego porządek zniszczyć, zwalić jak budę spróchniałą. A nowy, lepszy zbudować”.

Nowy świat?

Niedaleko. Wiemy, co się w nim dzieje.

Jedna jest myśl, nie nowa, ale racjonalna, to wołanie o pracę dla bezrobotnych, zamiast udzielania im jałmużny zasiłków. Szkoda, że myśl ta została przysłonięta frazesem, spłowiałym i wytartym. (A. W.)

*

Colette, „Kotka”. Powieść. Autoryzowany przekład z francuskiego Heleny Weissowej. Wydawnictwo nowoczesne. Warszawa, str. 211.

Zagadnienie t. zw. duszy zwierzęcej, widziane od strony współczującego z nią człowieka. Stopień zespolenia z nią jego jaźni aż do granic anormalności życiowej, inna rzecz tchnącej subtelną wonią poezji. Mało prawdopodobna historia rywalizacji pomiędzy kobietą i kotką o serce i duszę mężczyzny.

Osią tej dziwnej, w półtonach utrzymanej, opowieści staje się konflikt w duszy młodego chłopca, którego odstręcza zmysłowa, napastliwa namiętność jego żony. Całkowite wyżycie się przesubtelnionej, pełnej wspomnień dzieciństwa, wyobraźni znajduje on w uczuciu, jakie żywi dla wyhodowanej przez siebie kotki Sahy. W tym świecie, w cieniu drzew starego ogrodu w domu rodzinnym szuka Alain i znajduje ucieczkę od brutalności życia, które go przeraża, każąc tęsknić za utraconym rajem dzieciństwa.

Autorka wymodelowała postać Alain'a w plastelinie, dając mu miękkie, kobiece zarysy, pozbawiwszy go elementarnych cech energii i zaborczości. W dodatku każe nam wierzyć, że tak dziś wyglądają młodzi Francuzi.

Książka ukazuje, na jak kruchych podstawach oparte bywają związki małżeńskie wśród paryskiej burżuazji, skoro zazdrość... o kotkę staje się — po trzymiesięcznem pożyciu— wystarczającą przyczyną rozwodu.

Colette jeszcze raz tutaj potwierdza ustaloną już sławę finezyjnej roboty powieściopisarskiej, wnikliwości psychologicznej i konsekwencji.

Przekład dotąd znośny, dopóki nie przyjdzie oddać jakiegoś trudniejszego, bardziej zwiewnego nastroju, np. zjaw i majaków wpółsennych, dręczących Alain'a. (ST. J.)

FILM

PAN: „Sztandar“, reż. Julien Duviver.

Ponieważ film ten jest francuski, więc mowa w nim, dla niepoznaki, o Legji Cudzoziemskiej w... Hiszpanii. Nie zmienia to jednak postaci rzeczy i nie wpływa na treść utworu, która, jeśli chodzi o jej rodzaj i filmowe ujęcie, może być podzielona na dwie części. Pierwsza część opisuje przygody Piotra Gilieth, zabójcy ukrywającego się przed sprawiedliwością, druga — jego pobyt w Legii Cudzoziemskiej. Ta pierwsza część, operująca skrótami, ma pewne tendencje do wyzyskiwania efektów języka filmowego, druga została potraktowana bardzo realistycznie.

Czy realizm ten (wstrzemięźliwy i męski w filmowej wypowiedzi, wolny od efekciarstwa i zwykłego u wielu reżyserów przyozdabiania filmu rodzynkami, wyraźnie w tym celu użytych pomysłów), nie posługuje się jednak własnym wyrazem artystycznym — to jeszcze pytanie. Na tle amerykańskiego kwietyzmu („Marokko“) realizm Duviviera robi wrażenie zgoła obiektywnej relacji, reportażu o Leg. Cudz., jak ktoś się wyraził. Czy reportaże naprawdę są tak obiektywne? Opisujący obserwuje zjawisko, objawiające się wielością faktów i cech. By je (zjawisko) opisać, powstrzymując się nawet od wyrażenia o niem własnego zdania, musi jednak z wielu szczegółów i cech wybrać tylko niektóre, w jego mniemaniu najbardziej charakterystyczne. A moment wyboru już przesądza o całej sprawie. Czemże jest bowiem sztuka, jeśli nie wyborem właśnie ze śpiżarni natury tych elementów, które w kolejności i skomponowaniu przez artystę pomyślanem składają się na jego dzieło. Sztuka zaś zawsze jest obiektywna.

U Duviviera, który należy do wybitniejszych reżyserów francuskich, wrażenie pozornie obiektywnego realizmu powstało dzięki zerwaniu z konwencjonalizmem pewnych form wypowiedzi. W składnicy szablonów artystycznych istnieje na wszystko dawno gotowa formułka. Tak się wyraża ból, tak pada zabity i t. d. Zobaczmy kilka obrazów w ujęciu Duviviera. Oto pobojowisko. Jałowy ugór, kilka trupów, trochę sprzętu żołnierskiego, ścierwo końskie. Nad tym posępnym i prozaicznym pejzażem, w jasny, upalny dzień unosi się, jak śpiew skowronka, beztroska piosenka żołnierza (śpiewaka nie widać).

Drugi Obraz. Żołnierz, trafiony kulą podczas picia wody, pada twarza w kubeł. Bezwładną i stygnącą głowę, twarz zlewa woda z przewróconego naczynia.

Oba obrazy wyzute są z wszelkiego patosu sztuki i przez kontrast tragizmu (śmierć) z codziennością (piosenka, picie wody) nabierają nowych rumieńców, nowego wyrazu artystycznego.

Inna sprawa, którą należy poruszyć pisząc o „Sztandarze”, to zagadnienie etyczne. Do Legii Cudzoziemskiej, jak wiadomo, wstępują ludzie nie zawsze o pięknej i czystej przeszłości. Chronią się tu nieraz przed sprawiedliwością. To też słuszne jest, by życie w Legii, twarde i surowe, było dla nich pewnego rodzaju pokutą. Nie zgadzam się pod tym względem z kolegą moim Z. Bronclem, który pisze w „ABC“, że „za usługę przyjmowania bez dokumentów, organizatorzy Legii przyznali sobie przywilej bezceremonialnego wyzysku legionistów“. Czy Legia ma być dla byłych przestępców schroniskiem z dancingiem i atrakcjami? Gdyby po twardej służbie żołnierskiej Piotr Gilieth ginie zaszczytną śmiercią żołnierza, wydaje nam się, iż w ten sposób właśnie odkupił swe dawne winy. „Niech moich ludzi“ — mówi surowy lecz sprawiedliwy dowódca legionistów — „nikt nie pyta o przeszłość. Poto są w Legii, by ją przekreślić“.

ATLANTIC: „Pasteur“ film amerykański.

Najważniejsze w tym filmie jest to, iż bohaterem swej opowieści uczynił uczonego, że sprawę nauki i świadomość jej znaczenia wniósł w obręb zdarzeń ukazywanych z ekranu.

Zanim się zobaczyło „Pasteura“, myśleliśmy o tem, jak też filmowcy rozwiążą ten temat, tak, w ich dotychczasowem mniemaniu, ryzykowny, nie filmowy i nie kasowy. Oczywiście sama praca naszego uczonego, jako taka wydała im się za mało atrakcyjna (a może nie znaleźli jeszcze dla jej wyrażenia właściwej formy filmowej...), ponieważ jednak życie Pasteura było zarazem walką z niewiarą i nieufnością mu współczesnych, wyzyskano stronę anegdotyczną tej walki. Nie byliby amerykanie sobą, gdyby się wyzbyli całkowicie pewnego tromtadractwa w ujęciu tematu, w każdym razie dobrze, że początek został zrobiony i postać uczonego stała się dla filmowców również godna uwagi.

Reżyseria poprawna, niczem nie usprawiedliwia hucznej reklamy, jaką filmowi zrobiono. Najpiękniej wypadły niektóre zdjęcia pejzażowe (z owcami), finał pod względem reżyserskim i fotograficznym — blady i bez wyrazu.

W Roli Pasteura Paweł Muni.

KANDYD

ZMARLI

Ś. P. STANISŁAW MOSKALEWSKI

W POZNANIU zmarł w dn. 6 września wierny przyjaciel naszego pisma, powszechnie ceniony człowiek, wzór dobrej woli, pracowitości i energii — Stanisław Moskalewski.

W kronikach pokolenia, z którem odbywał zwycięską kampanię, zapisany być winien jego życiorys. Oto niektóre dane tego pożytecznego żywota.

Urodził się 28 kwietnia 1876 r. w majątku rodzinnym Sieprawki, pow. lubelskiego, jako syn Feliksa i Ewy z Trąbczyńskich. Po ukończeniu szkoły średniej w Warszawie i studiach w Krakowie, rozpoczął pracę zawodową w Ordynacji Zamojskiej, gdzie był urzędnikiem, a następnie pełnomocnikiem.

Od 1898 r. był narodowym działaczem oświatowym i społecznym. Organizował czytelnie i kursy oświatowe po wsiach i miasteczkach, zakładał straże pożarne (10), Kasy pożyczkowe (5), spółki i sklepy spożywcze (12), spółkę i szkołę tkacką we Frampolu, popierał przemysł ludowy przez organizację zbytu, zakładał kółka rolnicze i t. p. Jako działacz konspiracyjny na terenie Zamojszczyzny, Chełmszyzny i Podlasia prowadził akcję polityczno-oświatową, organizował zebrania potajemne, kolportował literaturę nielegalną, współdziałał w pracy wyznaniowej wśród unitów na Chełmszczyźnie i Podlasiu. Brał czynny udział w akcji wprowadzenia języka polskiego do szkół i urzędów gminnych oraz w strajku szkolnym.

Zmarły należał do grona wybitnych działaczy tajnej Ligi Narodowej, której zewnętrznym wyrazem organizacyjnym była Narodowa Demokracja. Przez siedemnaście lat kierował tak zwanemi transportami literatury nielegalnej przez kordony graniczne. Ułatwiał nielegalne przejście tychże kordonów działaczom politycznym, był też stale pod nadzorem policyjnym i miał liczne procesy.

Od 1915 r., po przymusowem opuszczeniu kraju w czasie Wielkiej Wojny, przebywał do końca 1918 r. w Kijowie, gdzie był pełnomocnikiem Centralnego Komitetu Obywatelskiego na Ukrainie, członkiem Polskiego Komitetu Wykonawczego w Kijowie i członkiem Rady Międzypartyjnej w Moskwie. Opiekował się wtedy wygnańcami polskimi na Ukrainie, założył dla nich 70 szkółek polskich i t. p.

W 1918 r., jako prezes komitetu powrotu do kraju, był powołany przez rząd ukraiński do udziału w kongresie pokojowym w Brześciu Litewskim, gdzie skutecznie dopilnował włączenia do paktu pokojowego obowiązku reewakuacji wygnańców do Polski. Brał czynny udział w tworzeniu polskich formacyj wojskowych na wschodzie.

Po ukończonej reewakuacji wszystkich wygnańców do Polski, powrócił w końcu grudnia 1918 r. na dawne stanowisko pełnomocnika Ordynacji Zamojskiej, a w listopadzie 1919 r. został mianowany pierwszym wojewodą lubelskim. Zorganizował urząd wojewódzki i władze pierwszej instancji, biorąc jednocześnie czynny udział w różnych organizacjach społecznych.

Od czerwca 1923 r. do kwietnia 1926 r. pełnił obowiązki nadzwyczajnego komisarza oszczędnościowego przy prezesie Rady Ministrów i przeprowadził w budżetach państwowych redukcję wydatków w sumie ponad trzysta milionów złotych. W listopadzie 1926 r. ze stanowiska wojewody został przeniesiony w stan spoczynku.

Od maja 1928 r. zamieszkał w Poznaniu.

O dalszej działalności ś. p. Moskalewskiego już na terenie Wielkopolski tak pisze „Kurier Poznański”:

„Oddawał się gorliwie pracy społecznej, będąc m. in. prezesem poznańskiego okręgu Polskiego Czerwonego Krzyża i Polskiego Tow. Krajoznawczego. Zmarły ożywił szczególnie Koła młodzieży P. C. K. w Wielkopolsce tak skutecznie, że koła te są obecnie najaktywniejsze w całej Polsce“.

Oto sucho wyliczone nazwy tych robót, które ś. p. Moskalewski dokonał. Pracowite to było życie, nie gardzące najcięższemi posługami ku dobru społeczeństwa i ludzi. Był to człowiek wielkiej dobroci serca, jego praca polityczna i kulturalna przepojona była humanitaryzmem, który wytwarzał koło niego atmosferę pełną ciepła i jasności.

Oby wzorem był dla pokoleń, które nadchodzą w Polsce, przez takich ludzi, jak ś. p. Moskalewski odrodzonej.

Z. W.

OD WYDAWNICTWA

Zbliża się początek KWARTAŁU IV, inauguracja sezonu jesiennego i zimowego, kiedy każdy zaopatruje się na długie wieczory w pożyteczną lekturę.

Zmienia się też potrochu sezon polityczny.

Nie może przecież to długo trwać, aby nie wolno było posługiwać się jawnie narodowemi motywami myślenia i działania. „MYŚL NARODOWA” powinna się znaleźć na stole każdego ideowego pracownika myśli polskiej.

Wydawnictwo prosi o WCZESNE przysyłanie prenumeraty i o jednanie nowych odbiorców spośród znajomych.

W zeszłym tygodniu dołączyliśmy do każdego numeru odpowiedni na ten cel przekaz.

P O K Ł O S I E

ŚWIAT W CYFRACH

PROBLEMY populacyjne, ruch ludności, jej wzrost w poszczególnych krajach budzą coraz żywsze zainteresowanie, wywołują coraz szczegółowsze badania. Nic dziwnego, zaczynamy przecież odczuwać wyraźne oddziaływanie tych procesów na życie, na politykę bieżącą. Jesteśmy obecnie pod wrażeniem wizyty paryskiej i przyjęcia, jakie tam zgotowano przedstawicielowi armii polskiej. Mamy pełne zrozumienie tych wielu i skomplikowanych elementów, składających się na takie lub inne stosunki między narodami, ale nie da się zaprzeczyć, że wśród tych czynników spadek ludności francuskiej i słabe roczniki wojenne odgrywają swoją rolę.

Poczciwy pastor Malthus wpadł, jak wiadomo, swego czasu w przerażenie na widok perspektyw, otwierających się przed ludzkością z powodu grożącego przeludnienia świata. Może nie był tak bardzo w błędzie. Według dzisiejszych badań Europa miała w 1650 roku okrągłe 100 milionów ludności, w 1800 roku — 187 milionów, a w 1929 — 478 miljonów; w Ameryce Północnej ludność wzrosła w tym samym czasie od jednego miliona, przez 5 i pół dó 133 milionów; w Azji od połowy XVII wieku do naszych dni wzrosła od 259 do 954 milionów. Jednem słowem, w ciągu tego okresu ludność kuli ziemskiej podwajała się przeciętnie co 110 lat. Gdy ktoś puścił wodze fantazji, to łatwo mógł wyliczyć, że za lat niespełna tysiąc ludność wzrośnie 250 razy i nie jest pewne, czy się na globie naszym pomieści, nie mówiąc już o wyżywieniu.

Zawodne są jednak przewidywania przyszłości. Od czasów Malthusa nie upłynęło jeszcze stu lat, a narody europejskie mają wręcz odwrotne zmartwienie: czy zdołają utrzymać taką liczebność, jakiej wymaga ich pozycja w świecie i wielkość gospodarstwa narodowego. Dokładniejsze badania wykazały, że opieranie się na liczbach tzw. przyrostu naturalnego, t. zn. na nadwyżce urodzeń nad zgonami prowadzi do złudzeń. Mimo istniejącej jeszcze u większości narodów europejskich mniejszej lub większej nadwyżki, wszystkie one są na progu poważnego spadku. Wykalkulowano nowy, jedynie miarodajny miernik, t. zw. współczynnik rozrodczości, wskazujący czy dany naród jest w stadium wzrostu liczebnego, równowagi, czy też spadku, i stwierdzono, że tylko w Polsce, Włoszech i możliwe że w Rosji (brak co do niej dokładniejszych danych) współczynnik ten jest większy od jedności, czyli, że narody te są w stadium wzrastania liczebnego. U innych współczynnik jest mniejszy od jedności i narody te czeka nieuchronnie w ciągu najbliższych dziesięcioleci poważny spadek ludności, mimo że dziś wykazują jeszcze przewyżkę urodzeń nad zgonami.

Wyszła świeżo w Anglii książka traktująca obszernie ten przedmiot, pióra specjalisty prof. Carr-Saundresa („*World Population*") i tam podano, że dla Anglii współczynnik rozrodczości jest 0,734. Na pozór nie wydaje się to zbyt groźne, gdyż brak tylko czwartej części do jedności, która oznacza stan równowagi. Jednak okazuje się, że ten deficyt w skutkach może być bardzo doniosły. Mianowicie gdyby się nic na lepsze nie zmieniło, to za sto lat, w r. 2036, ludność Anglii wyniosłaby zaledwie 5 i pół miljona.

Oczywiście, nie należy popełniać dawnego błędu i polegać na przewidywaniu aż na sto lat naprzód, jednakowoż nie ulega wątpliwości, że ludność Anglii w najbliższych dziesięcioleciach spadnie, a poprawa może nastąpić dopiero w późniejszych generacjach, jeżeli się zmieni zasadniczo stosunek ludności do tych zagadnień.

Przed wielką potęgą brytyjską powstaje więc teraz nowy problem. Dotychczas, głównie pod wpływem klęski bezrobocia, ograniczanie liczby urodzeń było w Anglii niemal urzędowo popierane; dziś zaczyna się mówić o środkach, jakie należy zastosować aby zawrócić w przeciwnym kierunku. Bezrobocie trwa dalej i oscyluje wciąż około cyfry 2 milionów. W ostatnich miesiącach, wskutek podjętych na wielką skalę prac zbrojenia, spadło nieco wydatniej. Ale ukazuje się brak bardzo dotkliwy: niedostateczna liczba zgłaszających się kandydatów do wojska lądowego i marynarki.

Przypomnijmy co pisał R. Dmowski cztery lata temu („Przewrót"): „Gdy wybuchła wielka wojna obecnego stulecia, żaden rząd nie znalazł się w tak trudnem położeniu wobec swego społeczeństwa, żaden nie był zmuszony do takich wysiłków w propagandzie wewnętrznej, a to co Anglia wydała podczas wojny na żołnierzy i na ich rodziny, by uspokoić niezadowolenie ludności, stanowiło sumy, nie pojęte dla innych narodów europejskich... Niema narodu, który dziś czy jutro, będzie tak trudno powołać do nowych poświęceń, jak naród angielski"...

Otóż te trudności już się zaczęły. Deficyt w liczbie zgłaszających się rekrutów zmusza do nowych i coraz powabniejszych propozycyj. W kampanii rekrutacyjnej tego roku ogłoszono nowe warunki, polegające między innemi na próbnych angażowaniach. Każdy może zawrzeć umowę tylko na półroczną próbę, podczas której oprócz żołdu i całego zaopatrzenia skarb będzie opłacał za niego wkładki ubezpieczeniowe od bezrobocia, kas chorych i t. d., tak że po pół roku kandydat, któremu się wojsko nie podoba, może wystąpić bez narażenia się na stratę jakichkolwiek uprawnień, a oprócz tego otrzyma pokaźną premię roczną, jeżeli będzie brał udział w dwutygodniowych ćwiczeniach. Nie trzeba dodawać, że żołd i zaopatrzenie żołnierzy lądowych i marynarzy jest w Anglii takiej wysokości i jakości, o jakiej nie może nawet myśleć żołnierz w innych krajach. A mimo to kandydatów brak...

Brak także kolonistów. Kanada nabiera w niektórych prowincjach charakteru więcej francuskiego, niż dawniej, bo ludność francuska rozradza się szybciej, a przypływu z Anglii nie ma. Inne kolonie, jak Afryka, Australia wykazują coraz mniej łączności duchowej z metropolią, gdyż rosnąca naturalna obojętność starych kolonistów nie ma przeciwwagi w żywem uczuciu dla ojczystego kraju nowych przychodźców. Centralny kocioł angielski traci prężność z pustych kołysek...

ARGUS

NA MARGINESIE

Z teki pośmiertnej Juliana Adolfa Święcickiego:

Przysłowia perskie

Krowa nie zdycha od przekleństwa kruka.

Pozostaw psom rozkosz szczekania i gryzienia.

Każdy uważa gęś swoją za łabędzia.

Czyż to wina słońca, że nietoperz nie widzi we dnie?

Jakże śpiący śpiącego obudzi?

Najwyższa piękność w temperamencie.

Cierpliwość jest lekarstwem dla tych, którzy nie mają lekarstwa. Cierpliwość jest kluczem radości. Cierpliwość gorzka, ale owoc ma słodki.

Przysłowia są lampami wyrazów.

Szuka pyłu na morzu.

Chełpi się osioł, że koń jest jego wujem.

Nie stukaj palcem do drzwi bliźniego, żeby do ciebie pięścią nie stukano.

Uczciwość jest pobożnością najwyższą.

Drzewo miękkie mrówki jedzą.

Zawistny nigdy nie odpoczywa.

Gość jest święty przez trzy dni.

Posiadanie stanowi $^{9}/_{10}$ prawa.

Sława bohatera jest lepsza, niż sam bohater.

Przez powtarzanie wyrazu „ogień" ust nie sparzysz.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9,** półrocznie zł. **17,** rocznie zł. **32,** zagranicą kwart. zł. **12,** półroczn. zł. **24,** rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-30. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.